

Spokojne góry

Chandler Raymond



calibre 0.9.27

tytuł: "Spokojne góry"

autor: Raymond Chandler

Warszawa 1990

Pisał R. Duń

Korekty dokonały

K. Kruk

i K. Markiewicz

* * *

I

List nadszedł tuż przed południem, przez umyślnego, tania koperta z adresem nadawcy: F. S. Lacey, Puma Point, Kalifornia. W środku czek na sto dolarów, płatny gotówką i podpisany "Frederick S. Lacey", oraz kartka zwykłego białego papieru. Oto jej nieudolnie wystukana na maszynie treść: "Pan John Evans Szanowny Panie: Len Esterwald podał mi Pana nazwisko. Moja sprawa jest pilna i ściśle poufna. Załączam zaliczkę. Proszę przyjechać do Puma Point w czwartek, po południu albo wieczorem, jeśli to w ogóle możliwe, zatrzymać się w hotelu Pod Głową Indianina i zadzwonić do mnie pod numer 2306. Z poważaniem Fred Lacey" Od tygodnia trwał zastój w interesie, a tu zapowiadał się ciekawy dzień. Bank, na który opiewał czek, mieścił się o sześć przecznic ode mnie. Poszedłem tam, zrealizowałem czek, zjadłem lunch, wyprowadziłem samochód z garażu i ruszyłem w drogę. W dolinie było gorąco, w San Bernardino jeszcze goręcej, upał panował nawet na wysokości pięciu tysięcy stóp, gdzie dotarłem po przejechaniu piętnastu mil szosą szybkiego ruchu w stronę jeziora Puma. Pokonałem czterdzieści z pięćdziesięciu mil krętą drogą, nim zaczęło się ochładzać, ale tak naprawdę nie było chłodno, póki nie dojechałem do tamy i nie ruszyłem wzdłuż południowego brzegu jeziora, mijając liczne granitowe głazy i rozrzucone po równinie obozowiska. Było późne popołudnie, kiedy dotarłem do Puma Point, czułem się jak wypatroszona ryba. Hotel Pod Głową Indianina okazał się brązowym budynkiem na skrzyżowaniu, vis ~a vis sali tańców. Zameldowałem się, wniosłem na górę walizkę i rzuciłem ją w ponurym, nieprzyjaznym pokoju z owalną matą na podłodze, podwójnym łóżkiem w kącie i wiszącym samotnie na gołej sosnowej ścianie kalendarzem producenta sprzętu komputerowego, pomarszczonym w powietrzu suchego górskiego lata. Umyłem twarz, ręce i zszedłem na dół coś zjeść. Sala baru, przylegająca do hotelowego hallu, pełna była zionących alkoholem mężczyzn w sportowych ubraniach oraz kobiet w szortach lub w spodniach, z krwistymi paznokciami i brudnymi mankietami. Facet o

brwiach niczym John L. Lewis grasował po sali z cygarem wbitym między wargi. Szczupły, bladooki kasjer w samej koszuli usiłował złapać wyniki wyścigów w Hollywood Park na radyjku, w którym tyle było trzasków, ile wody w pur~ee z kartofli. W mrocznym zakamarku sali zespół country, składający się z pięciu defetystów w białych marynarkach i purpurowych koszulach, próbował się przebić przez gwar lokalu. Zmiotłem z talerza to, co w karcie nazwano pełnym obiadem, zamówilem wódkę, żeby mieć przy czym posiedzieć, a potem wyszedłem na główną ulicę miasteczka. Wciąż było całkiem jasno, ale neony już świeciły. Wieczór rozbrzmiewał klaksonami samochodów, piskliwymi głosami, grzechotem kręgli, strzałami z broni kaliber 22 na strzelnicy, muzyką z szafy grającej, a nad tym wszystkim górował ochryply, twardy loskot motorówek na jeziorze. Na rogu ulicy, naprzeciwko poczty, dostrzegłem niebiesko-białą strzałkę z napisem: "Telefon". Ruszyłem zakurzonym poboczem drogi, która nagle stała się spokojna, chłodna i pachniała sosnami. Oswojona łania z futrzanym kołnierzem przeszła przez jezdnię dwa kroki ode mnie. Urząd telefoniczny mieścił się w drewnianym baraku, była w nim budka z automatem. Zamknąłem się w niej, wrzuciłem monetę i wykręciłem 2306. Odezwał się kobiecy głos.

- Czy zastałem pana Freda Lacey'a? - zapytałem.

- Przepraszam, a kto dzwoni?

- Nazywam się Evans.

- Pana Lacey'a w tej chwili nie ma w domu. Czy spodziewa się pańskiego telefonu? Dwa jej pytania przypadły na jedno moje. To mi się nie podobało.

- Czy mówię z panią Lacey?

- Tak, jestem jego żoną. Pomyślałem, że głos ma napięty, podenerwowany, ale niektórzy ludzie zawsze w ten sposób mówią.

- Dzwonię w interesie - powiedziałem. - Kiedy wróci pani mąż?

- Nie wiem dokładnie. Myślę, że przed nocą. A co pan...

- Gdzie znajduje się wasz domek, pani Lacey?

- Mieszkamy w Ball Sage Point, jakieś dwie mile na zachód od miasteczka. Czy pan stamtąd telefonuje? Czy pan...

- Zadzwoń jeszcze raz za godzinę. - Poinformowałem i odłożyłem słuchawkę. Wyszedłem z kabiny. W drugim końcu baraku ciemnoskóra dziewczyna w spodniach pisała przy biurku w czymś, co wyglądało na księgę rachunkową. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

- Jak się panu podobają góry?

- zapytała.

- Piękne.

- Tu jest bardzo spokojnie - powiedziała. - Można wypocząć.

- Tak. Czy pani zna może niejakiego Freda Lacey'a?

- Lacey'a? Ach, tak, właśnie im zakładano telefon. Kupili domek Baldwina. Stał pusty przez dwa lata, a teraz oni go kupili. To na samym końcu Ball Sage Point, spory dom na wzgórku, z widokiem na jezioro. Widok tam naprawdę wspaniały. Czy pan zna pana Lacey'a?

- Nie - odrzekłem i wyszedłem na dwór. Oswojona łąnia stała w przejściu między barierkami odgraniczającymi chodnik. Próbowałem ją usunąć z drogi, ale nie chciała się ruszyć, więc przekroczyłem barierkę, wróciłem do hotelu i wsiałem do samochodu. Na wschodnim krańcu miasteczka mieściła się stacja benzynowa. Zatankowałem i spytałem gościa w skórze, który mnie obsługiwał, gdzie jest Ball Sage Point.

- Prosta sprawa - odparł. - Prosta jak drut. Znajdzie pan Ball Sage Point bez problemu. Pojedzie pan tędy, prosto, jakieś półtorej mili, minie pan kościół katolicki i obóz Kincaid, potem koło piekarni skręci pan w prawo, dojedzie pan do obozu chłopięcego Willertona i jak pan już minie obóz, to będzie pierwszy skręt w lewo. Piaszczysta droga, pełna wybojów. Nie odśnieżają jej zimą, ale teraz przecież nie zima. Zna pan tam kogoś?

- Nie. Dałem mu pieniądze. Poszedł po resztę i wrócił.

- Tu jest spokojnie - oznajmił. - Można wypocząć, panie...?

- Murphy.

- Miło mi pana poznać, panie Murphy - powiedział i uściskał mi rękę. - Niech pan do mnie wpada. Cieszę się, że mogłem pana obsłużyć. Więc do Ball Sage Point musi pan jechać prosto, tą drogą...

- Tak - stwierdziłem i zostawiłem go w pół słowa. Uznałem, że wiem już, jak trafić do Ball Sage Point, więc zawróciłem i pojechałem w przeciwnym kierunku. Może Fred Lacey nie chciałby mnie widzieć w swoim domku? Tuż za hotelem brukowana droga skręcała w dół, ku przystani motorówek, a potem na wschód, wzdłuż brzegu jeziora. Stan wody był niski. Bydło pasło się na zakwaszonej łące, którą wiosną zalewała woda. Kilku nieruchomych turystów łowiło z łódek okonie lub samogłowy. Niespełna milę za łąkami piaszczysta droga wiała się ku podłużnemu wzniesieniu porośniętemu jałowcem. Niedaleko brzegu stał jasno oświetlony pawilon taneczny. Rozbrzmiewał już muzyką, choć na tej wysokości wydawało się, że jest dopiero późne popołudnie. Miałem wrażenie, że zespół gra u mnie w kieszeni. Dziewczyna gardłowym głosem śpiewała "Pieśń dzięcioła". Przejechałem obok pawilonu, muzyka stopniowo cichła, a droga stawała się coraz gorsza, coraz bardziej wyboista. Przemknął koło mnie domek nad jeziorem, a za nim były już tylko sosny, jałowce i lśniaca tafla. Zatrzymałem samochód prawie pod szczytem wzniesienia i podszedłem do wielkiego obalonego drzewa, którego korzenie sterczały na dwanaście stóp w górę. Siadłem, opierając się o drzewo, na suchej jak pieprz ziemi, i zapaliłem fajkę. Cisza, spokój, z dala od wszystkiego. Koło przeciwnego brzegu jeziora dwie motorówki wyścigowe bawiły się w berka, ale po tej stronie była tylko cicha woda, ciemniejsza

w górskim zmięczeniu. Zastanawiałem się, kim u diabła jest ten Fred Lacey, czego chce i dlaczego, skoro miał taką pilną sprawę, nie czekał w domu ani nie zostawił wiadomości. Długo nad tym nie deliberowałem. Wieczór był taki spokojny. Palilem, patrzyłem na jezioro, w niebo, a także na drozda, który siedział na nagiej gałęzi u szczytu wysokiej sosny i czekał, aż ściemni się na tyle, żeby mógł zaśpiewać swoją kołysankę. Gdy upłynęło pół godziny, wstałem, wykopałem obcasem dołek w miękkim gruncie, wystukałem popiół z fajki i zasypałem go, mocno ubijając ziemię. Bez żadnego powodu zrobiłem kilka kroków w stronę jeziora i tak doszedłem do końca drzewa. Wtedy ujrzałem stopę. Była w białej tenisówce, przypuszczalnie numer dziewięć. Obszedłem korzenie drzewa. Znalazłem jeszcze jedną stopę, także w białej tenisówce. Ponadto białe spodnie z pospinyanymi nogawkami, a w nich nogi, oraz tors w bladzielonej koszuli sportowej, wypuszczonej na wierzch, z kieszeniami jak w swetrze. Przy szyi miała wycięcie w kształcie litery V, przez które widać było włosy pokrywające klatkę piersiową. Mężczyzna w średnim wieku, łysawy, w porządnej brązowej marynarce. Nad grubą wargą miał cienki, podgolony wąsik, a w ustach, lekko, jak to zwykle bywa, uchylonych, widać było duże, mocne zęby. Twarz z tych, do których pasuje wielkie żarcie, ale nie pasują smutki. Oczy patrzyły w niebo. Nie mogłem jednak pochwycić jego wzroku. Na zielonej sportowej koszuli, z lewej strony, ujrzałem plamę krwi wielkości talerza do drugiego dania. Pośrodku mogła się znajdować osmalona dziura. Ale pewności nie miałem. Światło było już trochę zawodne. Pochyliłem się i wymacałem zapalki oraz papierosy w kieszeniach koszuli, w bocznych kieszeniach spodni kilka kawalków metalu, przypominających klucze, i drobne. Obróciłem go nieco, żeby się dostać do bioder. Był jeszcze miękki i tylko trochę zimnawy. Portfel z nie wyprawionej skóry ciasno wypełniał prawą tylną kieszeń. Wyciągnąłem go, napierając kolanem na plecy. W środku było dwanaście dolarów i kilka biletów wizytowych, ale mnie najbardziej interesowało nazwisko na prawie jazdy. Zapaliłem zapalkę, żeby dobrze je odczytać w zamierającym świetle dziennym. Właścicielem prawa jazdy był Frederick Shield Lacey.

* * *

II

Odłożyłem portfel na miejsce, wstałem i pilnie się rozglądając, zrobiłem pełne koło. W polu widzenia nie było nikogo, ani na lądzie, ani na wodzie. W tym świetle nikt nie mógłby zobaczyć, co robię, chyba że zupełnie z bliska. Przeszedłem kilka kroków i schyliłem się, żeby sprawdzić, czy zostawiam ślady. Nie. Ziemię pokrywało stare sosnowe igliwie oraz rozpadające się w pył próchno. Rewolwer leżał w odległości czterech stóp, prawie pod pniem drzewa. Nie chciałem go dotykać. Był to wielostrzałowy colt kaliber 22 z kościaną rękojeścią. Tkwił na pół zagrzebany w kopczyku brunatnego, spróchniałego drewna. Po kopczyku chodziły mrówki, jedna pełzła po bębieniu rewolweru. Wyprostowałem się i jeszcze raz szybko rozejrzałem. Po jeziorze leniwie płynęła motorówka, niewidoczna z przylądka. Słyszałem jąkanie się dławionego silnika ale jej samej nie widziałem. Ruszyłem z powrotem do samochodu. Już do niego dochodziłem, kiedy zza krzaka manzanity wychynęła jakaś drobna postać. Ujrzałem błysk okularów i jeszcze czegoś

trzymanego w dłoni.

- Podnosimy ręce do góry, proszę bardzo - zasyczał głos. To było dobre miejsce na bardzo szybką ucieczkę. Obawiałem się, że moja nie byłaby dość szybka. Podniosłem ręce do góry. Drobną postać obeszła krzak manzanity. To coś błyszczące poniżej okularów okazało się pistoletem. Dość dużym pistoletem. Teraz zbliżał się do mnie. W drobnych, osłoniętych czarnym wąsikami ustach błysnął złoty ząb.

- Teraz się obracamy, bardzo proszę - mówił łagodnie miły, cichy głos. - Widzieliśmy człowieka, co leży na ziemi?

- Niech pan posłucha - zacząłem. - Ja tu jestem obcy. Ja...

- Teraz się szybko obracamy - powiedział zimno mężczyzna. Wykonałem zwrot. Lufa pistoletu mościła się w okolicach mojego kręgosłupa. Drobną, zwinną ręką dotykała mnie tu i ówdzie, by zatrzymać się na pistolecie pod pachą. Głos coś zaćwierkał. Ręka powędrowała na biodro. Ucisk portfela ustał. Bardzo zręczny kieszonkowiec. Niemal nie poczułem, że mnie dotyka.

- Teraz oglądam portfel. Stoimy bez ruchu - poleciał głos. Pistolet się odsunął. Ktoś naprawdę dobry miałby w tej chwili szansę. Rzuciłby się szybko na ziemię, zrobił z pozycji klęczącej fikolka do tyłu i stanął naprzeciw wroga z błyszczącym pistoletem w ręku. To by się stało błyskawicznie. Dobry facet załatwiłby tego małego okularnika tak, jak stara kobieta wrywa sobie ząb, jednym płynnym ruchem. Jakoś mi się wydawało, że nie jestem dość dobry. Portfel wrócił do tylnej kieszeni, a pistolet - w okolice kręgosłupa.

- A więc - odezwał się łagodnie głos - przyjeżdżając tutaj, popełniliśmy błąd.

- Ty tak twierdzisz, bracie - odparłem.

- Nieważne - powiedział głos.

- Teraz się wynosimy. Do domu. Pięćset dolarów. Bez jednego słowa. Najdalej za tydzień, licząc od dzisiaj, znajdzie się pięćset dolarów.

- Świetnie - stwierdziłem. - Czy ma pan mój adres?

- Bardzo zabawne - zaćwierkał głos. - Cha, cha, cha. Coś walnęło mnie od tyłu na wysokości prawego kolana i noga ugięła się pode mną raptownie, jak zawsze, gdy rąbnąć w to miejsce. Już zaczynałem czuć ból głowy, tam gdzie spodziewałem się uderzenia pistoletem, ale facet mnie nabral. Otrzymałem cios, jakim zabija się króliki. Prawdziwy majstersztyk, zadany kantem szczuplej, ale twardej dłoni. Urwał mi głowę, która poleciała prawie do samego jeziora, zawróciła jak bumerang i z przeraźliwym chrzęstem wylądowała na szczycie kręgosłupa. A jeszcze po drodze zdążyła nabrać w usta sosnowych igiel.

W dusznym pomieszczeniu z zamkniętymi oknami panowała głęboka noc. Moja klatka piersiowa oddychała z trudem, przyciśnięta do podłoża. Plecy przygniatała mi tona węgla. Jedna

szczególnie twarda bryła wbijała mi się w kręgosłup. Wydawałem jakieś dźwięki, ale zapewne niezbyt istotne. W każdym razie nikt się nimi nie przejmował. Usłyszałem narastający łoskot motorówki, a następnie lekkie kroki po szpilkowym podłożu, przypominające suche trzaski. Potem kilka głośnych chrząknięć i kroki oddaliły się. Gdy znów powróciły, odezwał się chrapliwy, nie pozbawiony obcego akcentu głos.

- Co tu masz, Charlie?

- Nic takiego - zaćwierkał Charlie. - Palił fajkę, nic innego nie robił. Turysta, cha, cha, cha.

- Widział sztywnego?

- Nie widział - odparł Charlie. - Zastanawiałem się, dlaczego.

- Dobra, idziemy.

- Och, szkoda - stwierdził Charlie. - Szkoda. Ciężar przestał uciskać moje plecy, twarde bryły węgla nie wbijały mi się już w kręgosłup.

- Szkoda - powtórzył Charlie.

- Ale co robić. Tym razem mnie nie nabrał. Uderzył pistoletem. Wpadnijcie do mnie, pozwolę wam dotknąć guza na karku. Mam ich tam kilka. Czas mijal i w końcu, stękając, dzwignąłem się na klęczki. Postawiłem jedną stopę na ziemi, oparłem się na niej, otarłem twarz wierzchem dłoni, postawiłem drugą stopę i wygrzebałem się z dziury, w której, zdawało mi się, tkwię. Tuż przed oczyma miałem blask wody, pociemniałej teraz z braku słońca, ale rozsrebrzonej przez księżyc. Na prawo widziałem wielkie zwalone drzewo. Wszystko wróciło. Ostrożnie podszedłem do pnia, opuszkami palców obmacując kark. Był opuchnięty i miękki, ale nie krwawił. Przystanąłem, szukając kapelusza, ale przypomniałem sobie, że zostawiłem go w samochodzie. Obszedłem drzewo dookoła. Księżyc świecił bardzo jasno, jak to się zdarza tylko w górach lub na pustyni. Przy takim świetle można prawie czytać gazetę. Nietrudno było stwierdzić, że na ziemi nie leżą już zwłoki, a pod pniem nie kryje się rewolwer z pelzającymi po nim mrówkami. Ziemia sprawiała wrażenie zamiecionej i zagrabionej. Stałem nad słuchując, ale słyszałem jedynie pulsującą w skroniach krew i czułem, że boli mnie głowa. Moja ręka powędrowała pod pachę - pistolet był na swoim miejscu. Potem do tylnej kieszeni - portfel też był na miejscu. Wyciągnąłem go i sprawdziłem, czy są pieniądze. Wyglądało na to, że są wszystkie. Powłokłem się do samochodu. Chciałem dotrzeć do hotelu, wypić parę kieliszków i wskoczyć do łóżka. Miałem zamiar spotkać się z Charliem, ale nie od razu. Przede wszystkim musiałem się na trochę położyć. Byłem dorastającym chłopcem, który potrzebuje wypoczynku. Wsiadłem do samochodu, uruchomiłem silnik, zawróciłem ostrożnie na miękkim podłożu i piaszczystą drogą dojechałem do szosy. Nie spotkałem innych samochodów. W pawilonie tanecznym nad brzegiem jeziora nadal grała muzyka, wokalistka gardłowym głosem oznajmiała: "Już nigdy się nie uśmiechnę". Kiedy znalazłem się na szosie, włączyłem światła drogowe i skręciłem w kierunku miasteczka. Miejscowy policjant tkwił w jednopokojowym sosnowym baraku, nieco powyżej przystani, vis-à-vis straży pożarnej. Wewnątrz świeciła goła żarówka, widoczna przez oszklone drzwi. Zatrzymałem się po drugiej stronie szosy i spędziłem

dłuższą chwilę w samochodzie, obserwując posterunek. W środku, na obrotowym krześle, za biurkiem z szufladami, siedział mężczyzna bez nakrycia głowy. Otworzyłem drzwiczki samochodu i już wysiadałem, zawahałem się jednak. Zapaliłem silnik i odjechałem. W końcu musiałem zapracować na te sto dolarów.

* * *

III

Pojechałem dwie mile za miasteczko i koło piekarni skręciłem w niedawno naprawioną drogę, wiodącą ku jezioru. Minałem kilka campingów, następnie zobaczyłem brązowawe namioty obozu chłopięcego, między nimi lampy, i usłyszałem brzęk talerzy dobiegający z namiotu, w którym zmywano naczynia. Nieco dalej droga okrążyła zatoczkę, za zakrętem odchodziła w bok piaszczysta dróżka. Była przeorana głębokimi koleinami, z piachu wystawały liczne kamienie, drzewa prawie nie pozwalały przejechać. Minałem kilka oświetlonych domków z nie okorowanej sosny. Potem droga zaczęła się pięć w górę, zrobiło się przestronniej, a po chwili na szczycie wzniesienia pojawił się spory dom z widokiem na położone u jego stóp jezioro. Miał dwa kominy i otoczony był wiejskim płotem, za którym znajdował się podwójny garaż. Od strony jeziora ujrzałem długi ganek, schodki prowadziły do wody. Z okien padało światło. W blasku moich reflektorów mogłem odczytać nazwisko Baldwin, wymalowane na drewnianej tabliczce przybitej do drzewa. W porządku, to dom, którego szukam. W otwartym garażu stał samochód. Zatrzymałem się nieco dalej i podszedłem, żeby dotknąć rury wydechowej. Była zimna. Za furtką w wiejskim stylu oznakowana kamieniami ścieżka prowadziła do ganku. Drzwi otwarły się, kiedy do nich podszedłem. Na progu stała wysoka kobieta, jej sylwetka odcinała się na tle światła. W tej samej chwili minął ją mały, gładkowłosy piesek, sturlał się po schodkach, przednimi łapkami uderzył mnie w brzuch, potem zsunął się na ziemię i zaczął biegać w kółko, piszcząc z radości.

- Siad, Jasna! - zawołała kobieta. - Siad! Czy to nie śmieszna suczka? Mała śmieszna suczka... która miała ojca kojota. Piesek wrócił pędem do domu.

- Czy mówię z panią Lacey? Nazywam się Evans. Dzwoniłem mniej więcej przed godziną.

- Tak, nazywam się Lacey - odparła. - Mąż jeszcze nie wrócił. Już... ale może niech pan wejdzie... Jej głos był nieco przytłumiony, jak głosy we mgle. Kiedy wszedłem, zamknęła za mną drzwi i stała, patrząc na mnie, potem lekko się wzdrygnęła i usiadła na wyplatany krześle. Sam zająłem drugie, identyczne. Piesek pojawił się znienacka, skoczył mi na rękę, polizał języczkiem w czubek nosa i zeskoczył. Był mały, szary, miał spiczasty nos i długi puszysty ogon. W dużym, podłużnym pokoju o kilku oknach z przybrudzonymi firankami znajdowały się, oprócz sporego kominka, indiańskie makatki, dwie sofy ze splewiałymi kretonowymi narzutami i jeszcze kilka wyplatanych krzeseł, niezbyt wygodnych. Na ścianie wisiało kilka par jelenich rogów, jedno z sześcioma odnogami.

- Fred jeszcze nie wrócił - powtórzyła. - Nie mam pojęcia, co go zatrzymuje. Skinąłem głową. Pani Lacey była blada. Wyjąwszy nieco zmierzwiłone ciemne włosy, wyglądała schludnie. Dwurzędowy czerwony żakiet z metalowymi guzikami, szare flanelowe spodnie, a na gołych nogach sandały ze świńskiej skóry o grubych drewnianych podeszwach. Do tego naszyjnik z matowych bursztynów i we włosach opaska z materiału w kolorze przydymionego różu. Miała trzydzieści parę lat, za późno, żeby się nauczyć ubierać.

- Chciał się pan widzieć z moim mężem w interesach?

- Tak. Pani mąż napisał, żebym przyjechał, zatrzymał się Pod Głową Indianina i do niego zadzwonił.

- Ach... Pod Głową Indianina... - powiedziała, jakby coś z tego wynikało. Założyła nogę na nogę, ale nie odpowiadała jej ta pozycja, więc znów usiadła prosto. Po chwili pochyliła się, podtrzymując brodę ręką opartą na kolanie.

- Czym pan się zajmuje, panie Evans?

- Jestem prywatnym detektywem.

- Chodzi... chodzi o te pieniądze? - zapytała szybko. Skinąłem głową. Mogłem sobie na to pozwolić. W końcu zwykle chodzi o pieniądze. Zresztą chodziło o sto dolarów, które miałem w kieszeni.

- Jasne - stwierdziła pani Lacey. - Oczywiście. Napije się pan czegoś?

- Bardzo chętnie. Podeszła do drewnianego barku i wróciła z dwiema szklankami. Napiliśmy się. Spoglądaliśmy na siebie znad szklanek.

- Pod Głową Indianina - powtórzyła pani Lacey. - Mieszkaliśmy tam dwie doby. Zaraz po przyjeździe, kiedy sprzątano w domku. Zanim go kupiliśmy, dwa lata stał pusty. Strasznie tu było brudno.

- Mogę sobie wyobrazić.

- Więc mówi pan, że mąż do pana napisał? - spytała, patrząc w szklankę. - Mam nadzieję, że opowiedział panu całą historię. Poczęstowałem ją papierosem. Wyciągnęła rękę, ale zaraz potrząsnęła głową, położyła dłoń na kolanie i mocno je ścisnęła. Omiotła mnie przy tym uważnym spojrzeniem od stóp do głów.

- Był niezbyt precyzyjny - powiedziałem. - Zwłaszcza w szczegółach. Wpatrywała się we mnie i ja się w nią wpatrywałem. Potem zacząłem chuchać do szklanki, aż pokryła się mgiełką.

- Cóż, chyba nie ma z czego robić tajemnicy - stwierdziła. - Chociaż muszę wyznać, że wiem o tej sprawie więcej, niż Fred przypuszcza. Nie wie na przykład, że widziałam list.

- List, który do mnie napisał?

- Nie. Ten, który dostał z LOs Angeles, z ekspertyzą banknotu dziesięciodolarowego.
- W jaki sposób trafiła pani na ten list? - spytałem. Zaśmiała się bez przekonania.
- Fred jest zbyt skryty. Nie należy być skrytym wobec kobiety. Zerknęłam na list, kiedy Fred był w łazience. Wyjęłam mu go z kieszeni. Skinąłem głową i pociągnąłem kolejny łyk. Wydałem nieartykułowany pomruk. A co ważniejsze, całkiem niezobowiązujący, skoro nie miałem pojęcia, o czym mówimy.
- Ale skąd pani wiedziała, że jest w kieszeni? - zapytałem.
- Właśnie go odebrał na poczcie. Byłam tam z nim. - Zaśmiała się, tym razem z większym przekonaniem. - Zauważyłam, że w środku jest banknot i że list nadano w Los Angeles. Wiedziałam, że wysłał jeden z banknotów swojemu przyjacielowi, który specjalizuje się w tych rzeczach. Stąd przypuszczałam, że list zawiera ekspertyzę. I miałam rację.
- Widzę, że Fred raczej się nie krył - powiedziałem. - No, a co było w liście? Pani Lacey lekko się zaczerwieniła.
- Nie wiem, czy powinnam panu o tym mówić. Nie wiem nawet, czy naprawdę jest pan detektywem i nazywa się Evans.
- Ba, o tym może się pani przekonać bez użycia przemocy - zapewniłem. Wstałem i pokazałem to, co konieczne w takiej sytuacji. Kiedy znów usiadłem, piesek podszedł do krzesła i obwąchiwał mi mankiety nogawek. Pochyliłem się, żeby go pogłaskać po łebku, a on obślinił mi całą dłoń.
- List stwierdzał, że to piękna robota. Zwłaszcza papier. Był niemal doskonały. Dopiero po analizie mikroskopowej udało się wykryć drobne różnice w "registrarze". Co to znaczy?
- To znaczy, że badany banknot nie pochodzi z drukarni papierów wartościowych. Czy coś jeszcze się nie zgadzało?
- Tak. W niewidzialnym świetle, nie mam pojęcia, co to takiego, ujawniły się minimalne różnice w składzie farb. Ale według listu fałszerstwo jest praktycznie nie do wykrycia gołym okiem. Może wprowadzić w błąd każdego kontrolera bankowego. Pokiwałem głową. Tego się nie spodziewałem.
- Kto napisał ten list, pani Lacey?
- Nie wiem, podpisał się Bill. To była kartka zwykłego papieru. Aha, jeszcze jedno. Bill twierdził, że Fred powinien natychmiast przekazać banknot ludziom z Biura Federalnego, ponieważ pieniądze są tak dobrze podrobione, że mogłyby narobić mnóstwo zamieszania, gdyby więcej ich trafiło do obiegu. Ale Fred oczywiście wolalby tego uniknąć. Pewnie dlatego sprowadził pana.
- No nie, oczywiście, że nie - zaprzeczyłem. Strzelałem na oślep, ale miałem nadzieję, że nikogo

nie zranię. Zbyt wielki był obszar mojej niewiedzy. Pani Lacey potaknęła, jakbym coś wyjaśnił.

- A czym się Fred obecnie zajmuje? - zapytałem.

- Brydżem i pokerem, jak zwykle od lat. Prawie każdego popołudnia gra w brydża w klubie sportowym, a wieczorami rznie w pokera. Rozumie pan, że nie mógł sobie pozwolić nawet na najniewinniejsze powiązanie ze sprawą fałszywych pieniędzy. Zawsze by się znalazł ktoś, kto by zakwestionował jego niewinność. Gra też na wyścigach, ale to już wyłącznie dla przyjemności. W ten sposób zdobył pięćset dolarów, które włożył mi w prezencie do buta. Właśnie Pod Głową Indianina. Miałem ochotę wyjść na dwór i trochę pokrzyczeć, wałąc kulakami w klatkę piersiową, żeby się po prostu wyładować. Tymczasem mogłem jedynie siedzieć, robić mądrą minę i pociągać ze szklanki. Wypilem do dna i zagrzechotałem resztkami lodu. Moja gospodyni przyniosła mi nową porcję. Łyknąłem porządnie i wziąłem głęboki oddech.

- Skoro banknot był tak dobry, skąd on wiedział, że jest zły, jeśli mnie pani rozumie? - zapytałem. Oczy jej się zaokrągliły.

- Ach, tak, rozumiem. Nie wiedział. Chodzi o to, że było ich pięćdziesiąt. Pięćdziesiąt nowiutkich dziesięciodolarówek. Ale kiedy je wkładał do buta, wyglądały inaczej. Deliberowałem, czy coś pomoże mocne pociągnięcie się za włosy. Raczej nie - ze względu na obolałą głowę. Charlie. Ten stary kumpel Charlie! W porządku, Charlie, wkrótce zjawię się u ciebie z moimi chłopakami.

- Chwileczkę - powiedziałem. - Chwileczkę, pani Lacey. Mąż nic nie wspomniał o bucie. Czy zawsze trzyma pieniądze w bucie, czy zrobił to tylko tym razem, z tej okazji, że wygrał je na wyścigach, a więc przez wdzięczność dla końskich nóg?

- Już mówiłam, że to miała być dla mnie niespodzianka. Miałam znaleźć pieniądze, wkładając buty, to proste.

- Ach - krzyknąłem, odgryzłszy sobie pół cała górnej wargi. - Ale pani ich nie znalazła?

- Jak mogłam znaleźć, skoro posłałam pokojówkę z tymi butami do szewca, żeby podwyższył obcasy? Nie zaglądałam do środka. Nie wiedziałam, że Fred coś tam włożył. Wreszcie jakieś światelko w ciemności. Było bardzo odległe, zbliżało się opieszale. I bardzo nisko, tyle co pół robaczka świętojańskiego.

- A Fred nic o tym nie wiedział. I pokojówka zniosła buty do szewca. Co dalej? - zapytałem.

- Potem Gertruda - tak ma na imię pokojówka - powiedziała, że ona też nie zauważyła pieniędzy. Kiedy Fred dowiedział się, że oddałam buty, i porozmawiał z Gertrudą, poleciał zaraz do szewca, ale okazało się, że on jeszcze nie zaczął ich robić. Zwitek banknotów wciąż tam tkwił. Fred wybuchnął śmiechem, schował pieniądze do kieszeni, a szewcowi dał z radości pięć dolarów. Dopilem drugą szklankę i rozprostowałem kości.

- Teraz rozumiem. Potem Fred wyjął banknoty, obejrzał je i stwierdził, że to nie te same. To były nowiutkie dziesięciodolarówki, a przedtem znajdowały się tam różne nominały, w dodatku

nienowe, przynajmniej nie wszystkie nowe. Patrzyła na mnie zdziwiona, że wyciągam takie oczywiste wnioski. Zastanawiałem się, ile jej zdaniem stron miał list, który dostałem od Freda.

- I wtedy Fred musiał pomyśleć, że zamiany dokonano nie bez kozery. Przyszedł mu do głowy prawdopodobny powód i wysłał jeden banknot przyjacielowi, z prośbą o sprawdzenie. A ekspertyza wykazała, że to wprawdzie bardzo dobre fałszerstwo, ale jednak fałszerstwo. Z kim o tym rozmawiał w hotelu?

- Chyba jedynie z Gertrudą. Nie chciał wszczynać alarmu. Myślę, że zawiadomił tylko pana. Zdusiłem papierosa i przez otwarte frontowe okno wyjrzałem na oświetlone księżycem jezioro. Motorówka wyścigowa wyposażona w silny przedni reflektor przemknęła z loskotem po powierzchni, albo nawet nad powierzchnią jeziora i znikła za lesistym przylądkiem. Spojrzałem na panią Lacey. Nadal siedziała z podbródkiem opartym na smukłej dłoni. Wzrok miała trochę nieobecny.

- Chciałabym, żeby Fred już wrócił - westchnęła.

- A gdzie on się podziewa.

- Nie wiem. Wyszedł z człowiekiem, który się nazywa Frank Luders i mieszka w Woodland Club, na najdalszym krańcu jeziora. Fred mówi, że jest współwłaścicielem tego ośrodka. Ale dzwoniłam przed chwilą do Ludersa, który mi powiedział, że całkiem niedawno pojechali razem do miasteczka i Fred wysiadł koło poczty. Spodziewam się, że zadzwoni lada chwila i poprosi, żebym go przywiozła do domu. Wyruszył ładnych parę godzin temu.

- W Woodland Club na pewno grywa się w karty. Może tam poszedł.

- Zwykle jednak dzwoni do domu

- stwierdziła, kiwając głową. Przez chwilę wbijałem wzrok w podłogę, czując się jak podeszwa. Potem wstałem.

- Myślę, że powinienem wrócić do hotelu. Można mnie tam znaleźć, gdyby chciała pani zadzwonić. Wydaje mi się, że poznałem kiedyś pani męża. Czy to dobrze zbudowany czterdziestopięciolatek, lekko łysiejący, z małym wąsikiem? Odprowadzała mnie do drzwi.

- Tak - powiedziała. - To Fred, wypisz, wymaluj. Zamknęła psa w domu. Kiedy zawracałem i odjeżdżałem, stała na ganku. U licha, była taka samotna.

* * *

IV

Leżałem w łóżku, międląc papierosa i zastanawiając się, dlaczego właśnie ja mam być w tej sprawie mądry, kiedy ktoś zastukał do drzwi. Odezwałem się. Weszła dziewczyna w roboczym

kombinezonie. Z rącznikami. Miała ciemne, rudawe włosy, zmyślną, dobrze umalowaną twarz i długie nogi. Powiedziała "przepraszam", powiesiła rączniki na wieszaku i ruszyła w stronę drzwi. Patrzyła na mnie spod oka, trzepocząc przy tym rzęsami.

- Witaj, Gertrudo - powiedziałem na chybił trafił. Zatrzymała się, obróciła ciemną, rudą główkę i prawie się uśmiechnęła.

- Skąd pan wie, jak mi na imię?

- Nie wiedziałem. Mówiono mi, że jest tu pokojówka o imieniu Gertruda. Chciałem z nią porozmawiać. Oparła się o framugę drzwi, z rącznikami na ręce. Oczy miała leniwe.

- A więc?

- Pani tu na lato, czy na całe życie? - spytałem. Odęła wargi.

- Trudno to nazwać życiem. Wśród tych zwariowanych miłośników gór? Dziękuję, nie.

- Ale chyba dobrze się pani powodzi? Skinęła głową.

- I nie potrzebuję towarzystwa, mój panie. To akurat możnaby jej chyba wyperswadować.

- Proszę mi opowiedzieć o tych pieniądzach, schowanych w bucie

- poprosiłem, przyglądając się jej przez chwilę.

- Kim pan jest? - spytała chłodno.

- Nazywam się Evans. Jestem detektywem z Los Angeles. Uśmiechnąłem się do niej, bardzo chytrze. Jej twarz z lekka zeszywniała. Rękę zacisnęła na rącznikach, paznokcie rysowały kółko na ubraniu. Odeszła od drzwi i siadła na krześle pod ścianą. W jej oczach kryło się zakłopotanie.

- Śledź - westchnęła. - O co chodzi?

- Nie wiesz?

- Wiem tylko, że pani Lacey zostawiła jakieś pieniądze w bucie, który chciała oddać do podwyższenia obcasa, a ja zaniiosłam buty do szewca, który nie ukradł pieniędzy. Ja zresztą też nie ukradłam. Przecież odzyskała pieniądze, prawda?

- Nie przepadasz za glinami, co? Zdaje mi się, że skądś znam twoją buzię - powiedziałem. Skamieniała.

- Posłuchaj, gliniarzu, mam pracę, którą muszę skończyć. Żaden gliniarz mi w tym nie pomoże. A poza tym nic nikomu nie zrobiłam.

- Jasne - zgodziłem się. - Kiedy wzięłaś te buty z pokoju, poszłaś z nimi prosto do szewca? Przytaknęła.

- **Nigdzie się po drodze nie zatrzymałaś?**
- **Po co miałabym się zatrzymywać?**
- **Nie było mnie przy tym, więc nie wiem.**
- **Nie. Powiedziałam tylko panu Weberowi, że wychodzę na zlecenie gościa hotelowego.**
- **Kto to jest ten pan Weber?**
- **Zastępca kierownika. Często przesiaduje w jadalni.**
- **Wysoki, blady facet, który zapisuje wszystkie wyniki wyścigów?**
- **Tak, to on - potwierdziła dziewczyna.**
- **Rozumiem. - Zapaliłem zapalkę, a od niej papierosa. Patrzyłem na nią przez dym. - Bardzo dziękuję. Dziewczyna wstała i otworzyła drzwi.**
- **A jednak nie mogę sobie pana przypomnieć - rzuciła, oglądając się przez ramię.**
- **Widzę, że znasz prawie wszystkich moich kolegów - stwierdziłem. Zaczerwieniła się. Stała, piorunując mnie wzrokiem.**
- **Czy w tym hotelu zawsze tak późno zmienia się ręczniki? - zapytałem, żeby coś powiedzieć.**
- **Spryciarz z pana.**
- **Staram się sprawiać takie wrażenie - wyznałem ze skromnym uśmiechem.**
- **Ale nie zawsze to panu wychodzi - powiedziała, a w jej głosie nagle dosłyszałem ślad obcego akcentu.**
- **Czy ktoś oprócz ciebie dotykał tych butów?**
- **Nie. Już mówiłam, że zatrzymałam się na chwilę, żeby powiedzieć panu Weberowi... - tu przerwała w pół zdania i zastanawiała się dłuższą chwilę.**
- **Poszłam przynieść mu kawy. Zostawiłam buty na jego biurku, obok kasy. Skąd do cholery mam wiedzieć, czy nikt ich nie ruszał? A zresztą czy to nie wszystko jedno, skoro ci ludzie odzyskali swój szmal?**
- **No cóż, widzę, że starasz się mnie o tym usilnie przekonać. Ale opowiedz mi o Weberze. Długo tu jest?**
- **Zbyt długo - odparła z zaciekłością w głosie. - Dziewczyny wolą go omijać z daleka, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. Ale o czym mówiliśmy?**
- **O panu Weberze.**

- Do diabła z Weberem, jeśli mnie pan rozumie.
- Miałaś jakieś kłopoty z jego powodu. Znów się zaczerwieniła.
- I powiem jeszcze, zupełnie poza protokołem: do diabła z panem.
- Jeśli mnie pan rozumie - dodałem. Otworzyła drzwi, rzuciła mi szybki, nadąsany uśmiech i wyszła. Jej kroki zastukały w korytarzu. Nie słyszałem, żeby się zatrzymywała przy innych drzwiach. Spojrzałem na zegarek. Minęło pół do dziewiątej. Ktoś zbliżał się korytarzem, łomocąc buciorami, po czym wszedł do sąsiedniego pokoju i trzasnął drzwiami. Usłyszałem męskie pochrząkiwanie i loskot rzucanych butów. Jakiś ciężar runął na sprężyny łóżka i podskakiwał na nich przez dobre pięć minut. Potem mężczyzna wstał. Dwie wielkie białe stopy zadudniły w podłogę, butelka brzęknęła o szklankę. Mężczyzna nalął sobie, znów się położył i niemal od razu zaczął chrapać. Gdyby nie to chrapanie i bliżej nie zidentyfikowane odgłosy z jadalni i baru, panowałyby cisza właściwa górskiemu ośrodkowi wypoczynkowemu. Szybkie motorówki terkotały na jeziorze, stąd i zowąd dobiegała muzyka taneczna, samochody trąbiły, kaliber 22 trzaskał na strzelnicy, a dzieci wrzeszczały do siebie przez główny deptak. Było tak cicho, że nie usłyszałem, jak otwierają się drzwi mojego pokoju. Kiedy się zorientowałem, stały już otworem. Wszedł jakiś mężczyzna, przymknął je, zrobił parę kroków i przystanął, patrząc na mnie. Był wysoki, szczupły, błydy i spokojny, a w jego oczach czaiła się groźba.
- Dość tych żartów - rzucił. - Chcę to zobaczyć. Odwróciłem się do niego i usiadłem, ziewając.
- Co takiego?
- Znaczek.
- Jaki znaczek?
- Skończmy z wyglupami. Chcę zobaczyć znaczek, który daje panu prawo wypytywać personel.
- Ach, o to chodzi - westchnąłem z nikłym uśmiechem. - Nie mam żadnego znaczka, panie Weber.
- A to ci historia - stwierdził Weber. Przemierzył pokój, wymachując długimi rękoma. Kiedy zbliżył się do mnie na odległość trzech stóp, pochylił się i zrobił coś niespodziewanego. Otwartą dłoń mocno uderzył mnie w twarz. Głowa mi się zakolysała, a z karku we wszystkich kierunkach rozszedł się przenikliwy ból.
- Tylko za to jedno uderzenie
- powiedziałem - nie pójdzie pan dzisiaj do kina. Wykrzywił twarz w ironicznym grymasie i zamachnął się prawym kulakiem. Zasygnalizował cios z dużym wyprzedzeniem. Gdybym się pospieszył, zdążyłbym może wybiec na ulicę i kupić sobie maskę baseballową. Wyminąłem jego pięść i wbilem mu w brzuch lufę pistoletu. Mruknął coś ze złością.
- Rączki do góry - poleciałem. Znów coś mruknął, oczy wyszły mu z orbit, ale rękę nie podniósł.

Obszedłem go i wycofałem się w najodleglejszy kąt pokoju. Obrócił się powoli, nie odrywając ode mnie oczu.

- Chwileczkę, tylko zamknę drzwi. Potem zajmiemy się sprawą pieniędzy w bucie, znaną skądinąd jako Zagadka Zamienionej Sałaty - powiedziałem.

- Idź pan do diabła - warknął.

- To już przed chwilą przerabiałem - odparłem. - Mógłby się pan zdobyć na coś oryginalniejszego. Sięgnąłem za plecami do klamki, nie spuszczając go z oczu. Usłyszałem skrzypnięcie drewna. Zakręciłem się wokół własnej osi, przydając trochę energii dużemu, ciężkiemu i twardemu jak świat interesów kawałowi betonu, który wylądował na mojej szczęcie. Poleciałem w powietrze niczym błyskawica i dałem nura w przestrzeń kosmiczną. Minęło parę tysięcy lat. Potem plecami zatrzymałem bieg planety, otwarłem zamglone oczy i ujrzałem dwie stopy. Szeroko rozwarte, były częścią nóg, które zbiegały się w moim kierunku i spoczywały bezwładnie na podłodze. Obok leżała nieruchoma ręka, a tuż poza zasięgiem dłoni - pistolet. Ruszyłem stopą i ze zdumieniem stwierdziłem, że należy do mnie. Bezwładna dłoń drgnęła i odruchowo sięgnęła po pistolet, ale nie trafiła. Ponowiła więc próbę i wreszcie objęła gładką rękojeść. Podniosłem broń. Ktoś wprowadził przywiązał do niej pięćdziesięciofuntowy odważnik, ale mimo to udało mi się ją unieść. W pokoju była tylko i wyłącznie cisza. Podniosłem wzrok i wpatrywałem się w zamknięte drzwi. Poruszyłem się i poczułem, że boli mnie całe ciało. Bolała mnie głowa. Bolała szczeka. Uniosłem broń wyżej i znów ją opuściłem. Do diabła z pistoletem. Nie miałem powodu go dźwigać. Pokój był pusty. Opuścili go wszyscy goście. Samotna lampa pod sufitem świeciła pustym blaskiem. Obróciłem się na bok, czując przy tym nową falę bólu, po czym zgąłem nogę i podciągnąłem kolano. Podniosłem się stękając, znów złapałem pistolet i wywindowałem się do pozycji pionowej. W ustach czułem smak popiołu.

- Wielka szkoda - powiedziałem głośno. - Wielka szkoda. Ale trudno. Jeszcze się zobaczymy, Charlie. Zachwiałem się, oszłamiony jak po trzydniowym pijaństwie, obróciłem i zlustrowałem pokój. Przy łóżku klęczał jakiś zatopiony w modlitwie popielaty blondyn w szarym garniturze. Nogi miał nieco rozsunięte, a tułów i szeroko rozłożone ręce opierały się na łóżku. Najwyraźniej było mu w tej pozycji wygodnie. Chropowata rogowa rękojeść myśliwskiego noża, wystająca spod lewej łopatki, wcale mu nie przeszkadzała. Podeszedłem bliżej i nachyliłem się, żeby spojrzeć mu w twarz. Była to twarz pana Webera. Biedny pan Weber! Spod rękojeści myśliwskiego noża, wzdłuż lewej poły jego marynarki, biegła ciemna smuga. Nie była to woda rてciowa. Znalazłem w kącie swój kapelusz, włożyłem go ostrożnie na głowę, umieściłem pistolet pod pachą i powoli zbliżyłem się do drzwi. Przekręciłem klucz, zgasilem światło, wyszedłem, zamknąłem drzwi, a klucz włożyłem do kieszeni. Powędrowałem wymarłym korytarzem i schodami w dół, do biura. Stary nocny portier o zniszczonej twarzy siedział za biurkiem i czytał gazetę. Nawet na mnie nie spojrział. Przez lukowate wejście zerknąłem do restauracji. Ten sam hałaśliwy tłumek cisnął się koło baru. Ten sam zespół country walczył w kącie o przetrwanie. Facet z cygarem w ustach i brwiami jak John L. Lewis pilnował kasy. Interes szedł w najlepsze. Pośrodku sali tańczyło, trzymając szklanki za plecami partnera, kilka par turystów.

* * *

V

Wyszedłem głównym wejściem i skręciłem w lewo, kierując się do swojego samochodu, ale po chwili przystanąłem i wróciłem do hotelowego hallu. Pochyliłem się nad ladą.

- Czy mógłbym się widzieć z pokojówką Gertrudą? - zapytałem recepcjonistę.

- Ma wolne od wpół do dziesiątej. Pojechała do domu.

- A gdzie mieszka? Popatrzył na mnie, nie mrugając powiekami.

- Chyba za dużo pan sobie wyobraża - powiedział.

- Jeśli nawet sobie wyobrażam, to nie to, o czym pan myśli. Potarł palcami policzek i przykleił się wzrokiem do mojej twarzy.

- Czy coś się stało? - zapytał.

- Jestem detektywem z Los Angeles. Pracuję bardzo spokojnie, jeśli mi się pozwala pracować spokojnie.

- Myślę, że powinien pan porozmawiać z panem Holmesem - odparł. - Z naszym kierownikiem.

- Słuchaj, kolego, to jest bardzo mała dziura. Wystarczy, że przejdę na drugą stronę ulicy i w jakimś barze albo restauracji zapytam o Gertrudę. Wymyślę jakiś pretekst. Zdobędę jej adres. Pan może oszczędzić mi trochę czasu, a być może komuś innemu kłopotu. Bardzo poważnego kłopotu. Wzruszył ramionami.

- Czy mogę zobaczyć pańską licencję, panie...

- Evans. Pokazałem mu swoje papiery. Wpatrywał się w nie długo, zanim zaczął czytać, po czym oddał mi portfel i wstał, mierząc wzrokiem własne paznokcie.

- Zdaje mi się, że mieszka w Whitewater Cabins - powiedział w końcu.

- Jak brzmi jej nazwisko?

- Smith - odparł i uśmiechnął się słabym, starym, bardzo wytartym uśmiechem człowieka, który już niejedno widział na tym świecie. - A może Schmidt. Podziękowałem mu i wyszedłem na dwór. Nie dochodząc do pierwszej przecznicy, wstąpiłem napić się czegoś w małym hałaśliwym barze. Trzyosobowy zespół swingował na niewielkim podium w głębi sali. Przed podium znajdował się parkiet, na którym kilka par o zamglonym wzroku i płaskich stopach kręciło się w kółko z otwartymi ustami i pustymi twarzami. Wypiłem szklaneczkę żytniej i zapytałem barmana, gdzie szukać Whitewater Cabins. Powiedział, że na wschód od miasteczka, przy

drodze, która zaczyna się obok stacji benzynowej, niedaleko stąd. Wróciłem po samochód, przejechałem przez miasteczko i znalazłem tę drogę. Bładoniebieski neon ze strzałką wskazywał kierunek. Grupka domków, rozłożonych na stoku wzgórza, oraz biuro przy wjeździe - oto całe Whitewater Cabins. Zatrzymałem się przed biurem. Wokół na miniaturowych ganeczkach, siedzieli ludzie, słuchając przenośnych odbiorników radiowych. Wieczór był cichy i spokojny. Przy drzwiach biura znalazłem dzwonek. Zadzwonilem, zjawiała się dziewczyna w spodniach, która poinformowała mnie, że panny Smith i Hoffman mają chatkę nieco na uboczu, ponieważ rano dłużej śpią i potrzebują spokoju. Oczywiście w sezonie w ośrodku zawsze panuje gwar, ale ich chatka, Przytulisko, jest zaciszna, leży z dala od innych, po lewej stronie, znajdę ją bez trudu. Czy jestem ich przyjacielem? Powiedziałem, że jestem dziadkiem panny Smith, podziękowałem, wyszedłem z biura i ruszyłem stokiem pod górę, pomiędzy gęsto stojącymi chatkami. Dotarłem do sosnowego lasu. Na jego skraju leżały stągi drewna opałowego, a po obu ich stronach przycupnęły chatki. Przed tą po lewej stało coup~e z włączonymi światłami pozycyjnymi. Wysoka blondynka w niebieskiej chustce, niebieskim swetrze i niebieskich spodniach

- przynajmniej o zmroku sprawiały wrażenie niebieskich - ładowała walizkę do bagażnika. W chatce paliło się światło. Niewielki szyld na dachu oznajmiał, że to Przytulisko. Blondynka weszła do chatki, zostawiając otwarty bagażnik. Przez uchylone drzwi padała smuga przyćmionego światła. Cichutko wszedłem po schodkach i znalazłem się w środku. Gertruda mocowała się z zapięciem leżącej na łóżku walizki. Blondynka była poza zasięgiem mego wzroku, ale słyszałem, jak krząta się w małej kuchence. Zdaje się, że nie narobiłem zbyt wiele hałasu. Gertruda zatrzasnęła walizkę, zważyła ją w dłoni i ruszyła w stronę wyjścia. Dopiero wtedy mnie spostrzegła. Zbladła jak trup i zamarła w pół kroku. Otworzyła usta i szybko rzuciła przez ramię:

- Anno! Achtung! W kuchni zaległa cisza. Gertruda i ja wpatrywaliśmy się w siebie.

- Wyjeżdżacie? - spytałem. Dziewczyna zwilżyła wargi.

- Gliniarz chce mnie zatrzymać?

- Nie sądzę. Dlaczego wyjeżdżacie?

- Nie podoba mi się tutaj. Wysokość źle mi robi na nerwy.

- Zdecydowałyście się dość nagle.

- Czy jakiś paragraf tego zabrania?

- Nie sądzę. Chyba nie boisz się Webera? Nie odpowiedziała. Patrzyła ponad moim ramieniem. To stary numer, więc nie reagowałem. Za moimi plecami szczęknęły drzwi chatki. Wtedy się obejrzałem. Stała tam blondynka. W ręku miała pistolet. Patrzyła na mnie uważnie, bez żadnego wyrazu twarzy. Była duża i wyglądała na silną.

- Co to takiego? - spytała nieco ociężałym, niemal męskim głosem.

- Śledź z Los Angeles - odparła Gertruda.
- Aha - stwierdziła Anna. - Czego chce?
- Nie wiem - rzekła Gertruda.
- Myślę, że to nie jest prawdziwy śledź. Inaczej pachnie.
- Aha - powiedziała Anna. Przesunęła się na bok, odsłaniając drzwi. Wciąż miała mnie na muszce. Trzymała pistolet tak, jakby broń nie robiła na niej najmniejszego wrażenia.
- Czego chcesz? - spytała gardłowym głosem.
- Praktycznie wszystkiego - oznajmiłem. - Czemu się zmywacie?
- To już zostało wyjaśnione - odparła spokojnie dziewczyna. - Z powodu wysokości. Nie służy Gertrudzie.
- Obie pracujecie Pod Głową Indianina?
- To nie ma znaczenia - stwierdziła blondynka.
- Dość tego - wtrąciła się Gertruda. - Tak, obie pracowałyśmy do dzisiaj w hotelu. Teraz wyjeżdżamy. Ma pan coś przeciw temu?
- Tracimy czas - powiedziała Anna. - Sprawdź, czy ma broń. Gertruda odstawiła walizkę i szybko mnie przeszukała. Znalazła pistolet, który wielkodusznie pozwoliłem jej zabrać. Wpatrywała się w broń, z bladą, zatroskaną twarzą.
- Połóż pistolet gdzieś na zewnątrz i zanieś walizkę do samochodu. Zapal silnik i poczekaj na mnie. - Poleciała jej blondynka. Gertruda schyliła się po walizkę i ruszyła ku drzwiom.
- W ten sposób daleko nie zajedziecie - zauważyłem. - Policja telefonicznie zarządzi blokadę dróg. Stąd odchodzą tylko dwie, obie łatwo zamknąć. Blondynka lekko uniosła ładne, złociste brwi.
- Dlaczego ktoś miałby nas zatrzymywać?
- A dlaczego ściskasz w ręku pistolet?
- Nie wiedziałam, kim pan jest
- odparła. - I nadal nie wiem. Chodź, Gertrudo. Gertruda otworzyła drzwi, obejrzała się na mnie i przygryzła wargę.
- Posłuchaj dobrej rady, łapiduchu - powiedziała łagodnie. - Zmykaj stąd, jak tylko będziesz mógł.
- Która z was widziała nóż myśliwski? Spojrzały szybko na siebie, potem na mnie. Gertruda

przypatrywała mi się z natężeniem, ale w jej wzroku nie było poczucia winy.

- Poddaję się - oznajmiła. - To dla mnie za trudne.

- No, dobrze - rzuciłem. - Wiem, że to nie wy go tam zostawiłyście. Jeszcze jedno pytanie: ile czasu zajęło ci przyniesienie kawy panu Weberowi tamtego ranka, kiedy szłaś z butami do szewca?

- Tracisz czas, Gertrudo - powiedziała blondynka niecierpliwie, w każdym razie jak na nią niecierpliwie. Nie należała do porywczych. Gertruda zupełnie ją zignorowała. W jej oczach widać było głęboki namysł.

- Tyle, ile potrzeba na przygotowanie kawy.

- Przecież w restauracji kawa jest na zawołanie.

- Akurat wystygła. Poszłam po świeżą do kuchni. Przy okazji przyniosłam mu grzanekę.

- Pięć minut?

- Mniej więcej - przytaknęła.

- Kto jeszcze oprócz Webera był wówczas w restauracji? Wpatrywała się we mnie uporczywie.

- Myślę, że nikogo nie było. Ale nie jestem pewna. Może ktoś jadł późne śniadanie.

- Bardzo ci dziękuję - powiedziałem. - Połóż pistolet na ganku, ostrożnie, nie upuść go na ziemię. Jeśli chcesz, możesz opróżnić magazynek. Nie mam zamiaru do nikogo strzelać. Uśmiechnęła się leciutko, otworzyła drzwi ręką, w której trzymała broń, i wyszła. Dobięły mnie odgłosy jej kroków na schodkach, a po chwili trzaśnięcie zamykanego bagażnika. Usłyszałem rozrusznik, silnik zaskoczył i terkotał miarowo. Blondynka podeszła do drzwi i przelożyła klucz na zewnątrz.

- Nie zależy mi specjalnie na tym, żeby kogoś zastrzelić - stwierdziła. - Ale w razie potrzeby potrafię to zrobić. Radzę mi do tego nie zmuszać. Trzasnęła drzwiami i przekręciła klucz w zamku. Pochwyciłem jej kroki na ganku. Potem zatrasnęły się drzwi samochodu i silnik zmienił obroty. Opony zachrzęściły na drodze prowadzącej w kierunku chatki. W końcu wszystkie odgłosy roztopiły się w szumie przenośnych odbiorników radiowych. Stałem, rozglądając się po chatce, potem zrobiłem parę kroków. Nie trafiłem na nic podejrzanego. W blaszanym pojemniku trochę śmieci, w zlewie nie pozmywane filiżanki i garnek pełen fusów. Nie znalazłem ani kawałka papieru, nikt też nie zostawił historii swego życia spisanej na pudełku od zapalek. Zapasowe drzwi również były zamknięte. Wychodziły na majaczący w mroku las. Potrząsnąłem nimi i pochyliłem się, żeby z bliska obejrzeć zamek. Zwykła zasuwka. Otworzyłem okno. Oslaniała je przybita do zewnętrznej ściany siatka. Wróciłem do drzwi i napałem na nie barkiem. Nie puszczały. Na domiar złego głowa znów dała o sobie znać. Obmacałem kieszenie, ale spotkał mnie zawód. Nie miałem nawet najprostszego wytrycha za pięć centów. W szafce kuchennej znalazłem otwieracz do konserw. Podważyłem nim róg siatki i nieco odgiąłem, po

czym stanąłem na zlewie i sięgnąłem do zewnętrznej klamki drzwi. W zamku namacałem klucz. Przekręciłem go, wciągnąłem rękę z powrotem i wyszedłem z chatki. Potem wróciłem, żeby pogasić światła. Moja broń leżała na ganku, koło otaczającej go niskiej barierki. Zatknałem pistolet pod pachę i zszedłem do stóp wzgórza, gdzie zostawiłem samochód.

* * *

VI

Wewnątrz ujrzałem ladę, zaczynającą się tuż obok drzwi, pękaty piecyk, a na ścianie dużą niebieskawą mapę okolicy i kilka pomarszczonych kalendarzy. Na ladzie leżały sterty zakurzonych folderów, zardzewiałe pióro, butelka atramentu i pociemniały od potu stetson. Za ladą, przy starym dębowym biurku z szufladami, obok wysokiej, pokrytej śniedzią mosiężnej spluwaczki, siedział dobrze zbudowany, jowialny mężczyzna. Odchylił się na krześle, skrzyżowawszy na brzuchu duże, nieowłosione ręce. Miał na sobie schodzone wojskowe półbuty koloru brązowego, białe skarpetki, sprane brązowe spodnie na splowiałych szelkach i koszulę khaki, zapiętą pod szyją. Jego mysie włosy na skroniach przypominały brudny śNieg. Na lewej piersi połyskiwała gwiazda. Siedząc opierał się raczej na lewym niż na prawym biodrze, ponieważ z prawej tylnej kieszeni wystawała mu brązowa skórzana kabura, a z niej - przynajmniej na stopę - pistolet kalibru 45. Mężczyzna miał duże uszy, przyjazne oczy i w ogóle sprawiał wrażenie groźnego jak wiewiórka, tyle że trochę mniej nerwowego. Oparłem się na ladzie i patrzyłem na niego. Skinał mi głową, po czym w spluwacze wylądowało chyba ze ćwierć litra brązowego soku. Zapaliłem papierosa i rozejrzałem się, gdzie by tu wyrzucić zapalną.

- Choćby na podłogę - powiedział. - Co mogę dla ciebie zrobić, synu? Cisnąłem zapalną na podłogę i brodą wskazałem wiszącą na ścianie mapę.

- Szukam mapy tych okolic. Dawniej rozdawano je za darmo w biurach informacji handlowej. Ale obawiam się, że to nie jest biuro informacji handlowej.

- Nie mamy żadnych map - odparł mężczyzna. - Były całe stosy, parę lat temu, ale się skończyły. Słyszałem, że Sid Young ma jeszcze jakieś mapy w swoim sklepie fotograficznym koło poczty. On jest sędzią pokoju, nie tylko właścicielem sklepu fotograficznego, i rozdaje je turystom, zaznaczając, gdzie wolno, a gdzie nie wolno palić ognisk. Mamy tu spore zagrożenie pożarowe. A dobra mapa okolic wisi tam, na ścianie. Z przyjemnością wskażę panu każde miejsce. Dokładamy starań, żeby nasi letnicy czuli się jak w domu. Westchnął leniwie i strzyknął kolejną porcją śliny.

- Pańskie nazwisko? - spytał.

- Evans. A pan reprezentuje tu prawo?

- Tak. Jestem posterunkowym w Puma Point i zastępcą szeryfa w San Bernardino. Cały nasz

wymiar sprawiedliwości to Sid Young i ja. Nazywam się Barron. Pochodzę z Los Angeles. Osiemnaście lat służby w pożarnictwie. Trafiłem tutaj jakiś czas temu. Bardzo tu miło i spokojnie. A pan przyjechał służbowo? Nie przypuszczałem, że tak szybko będzie mógł powtórzyć swój wyczyn, ale się myliłem. Spluwaczka otrzymała pokaźną porcję.

- Służbowo? - zdziwiłem się. Potężny mężczyzna zdjął jedną rękę z brzucha i wcisnął palec pod kołnierzyk, starając się go rozluźnić.

- Służbowo - powtórzył łagodnie.

- Chodzi mi o to, że ma pan zapewne pozwolenie na pistolet?

- Naprawdę aż tak bardzo odstaje?

- Zależy, na co kto zwraca uwagę - stwierdził i postawił obie nogi na podłodze. - Może lepiej załatwimy tę kwestię od razu. Wstał, podszedł do lady, a ja położyłem na niej otwarty portfel, tak żeby w celuloidowym okienku widać było prawo jazdy ze zdjęciem. Potem wyciągnąłem pozwolenie na broń, wydane przez szeryfa Los Angeles, i umieściłem je obok. Barron obejrzał oba dokumenty.

- Wolalbym sprawdzić numer - powiedział. Wyjąłem pistolet i położyłem na ladzie tuż koło jego dłoni. Wziął go i porównał numery.

- Widzę, że posiada pan trzy pistolety. Mam nadzieję, że nie nosi pan wszystkich trzech naraz. Ładna broń, synu. Ale strzela gorzej od mojej. Wyciągnął swoją armatę z tylnej kieszeni i położył na ladzie. Był to frontier colt, musiał ważyć tyle co pełna walizka. Policjant podrzucił go w górę, aż zakręcił młynka, złapał zręcznie i schował. Następnie popchnął ku mnie mój kaliber 38.

- A zatem jest pan służbowo, panie Evans?

- Nie jestem całkiem pewien. Zostałem tu wezwany, ale nie udało mi się jeszcze nawiązać kontaktu. To sprawa poufna. Skinął głową. Miał zamysłone oczy. Były teraz głębsze, chłodniejsze i ciemniejsze.

- Zatrzymałem się Pod Głową Indianina - poinformowałem.

- Nie chcę się wtrącać w pańskie sprawy, synu - oznajmił.

- U nas nie ma zbrodni. Raz na jakiś czas bójka albo latem pijany kierowca. Czasem kilku łobuzów na motocyklu włamie się do jakiegoś domku, żeby się przespać, czy ukraść trochę żywności. Ale nie ma prawdziwych przestępstw. Skłonność do zbrodni jest na terenach górskich minimalna. Ludzie gór bardzo lubią spokój.

- Tak - powiedziałem - a zarazem nie. Pochylił się nieco i spojrzał mi w oczy.

- Właśnie teraz - ciągnąłem - zdarzyło się u was morderstwo. Jego twarz nawet nie drgnęła. Wpatrywał się we mnie badawczo. Potem sięgnął po kapelusz i włożył go na tył głowy.

- Co się stało, synu? - zapytał spokojnie.
- Zastrzelono mężczyznę na przylądku, na wschód od miasteczka, za pawilonem tanecznym, koło wielkiego, obalonego drzewa. Trafiony w samo serce. Byłem tam, przez pół godziny paliłem fajkę, zanim go spostrzegłem.
- Doprawdy? - wycedził. - Na Speaker Point? Za Speaker's Tavern? Tam?
- Zgadza się - odpowiedziałem.
- Potrzebował pan sporo czasu, by mi o tym powiedzieć! Jego oczy nie były już przyjazne.
- Doznałem szoku - wyjaśniłem.
- Trochę potrwało, zanim się pozbierałem.
- Skinął głową.
- Pojedziemy tam teraz obaj. Pańskim samochodem.
- To się na nic nie zda - odparłem. - Ciało zostało usunięte. Kiedy je znalazłem i szedłem do samochodu, wyskoczył zza krzaka jakiś japoński gangster i zwałił mnie z nóg. Paru ludzi zabrało ciało i odplynęło łódką. W tej chwili nie ma tam najmniejszego śladu. Szeryf odwrócił się ode mnie i splunął do swej flegmaczki. Potem strzyknął odrobiną śliny na piecyk i czekał, jakby się spodziewał, że wyparuje z sykiem, ale było lato i piecyk nie działał. Więc znów się odwrócił i odchrząknął przeciągle.
- Może by pan lepiej poszedł do siebie i trochę się położył.
- Mówiąc to, klepnął się po biodrze. - Dokładamy starań, żeby letnicy dobrze się u nas czuli. Klepnął się teraz obiema dłońmi, po czym wcisnął je w płytkie przednie kieszenie spodni.
- Dobrze - powiedziałem.
- Nie mamy tutaj gangsterów Japończyków - mruknął. - Nie mamy gangsterów Japończyków ani na lekarstwo.
- Widzę, że nie przypadła panu do gustu ta sprawa - stwierdziłem. - A co pan powie na to? Przed chwilą, Pod Głową Indianina zadżgano nożem człowieka nazwiskiem Weber. W moim pokoju. Ktoś, kogo nie widziałem, pozbawił mnie przytomności cegłą, a kiedy leżałem bez ducha, Weber dostał cios w plecy. Byliśmy w trakcie rozmowy. Weber pracował w hotelu. Jako kasjer.
- Powiada pan, że to się zdarzyło w pańskim pokoju?
- Tak.
- Wynika z tego, rzekł Barron z troską w głosie, że wywiera pan negatywny wpływ na miasteczko.

- Ta sprawa też się panu nie podoba? Potrząsnął głową przecząco.

- O, nie. Ta też mi się nie podoba. Chyba że ma pan pasujące do niej ciało.

- Nie mam go ze sobą - odparłem - ale mogę pojechać do hotelu i przywieźć je panu. Wyciągnął rękę i chwycił mnie za ramię; nigdy dotąd nie ścisnęły mnie równie twarde palce.

- Współczuję, jeśli jest pan przy zdrowych zmysłach, synu - powiedział. - Ale pojedę z panem. Mamy ładny wieczór.

- Istotnie - stwierdziłem, nie ruszając się z miejsca. - Człowiek, na którego prośbę tu przyjechałem nazywa się Fred Lacey. Kupił niedawno domek koło Ball Sage Point. Chatę Baldwina. Ten, którego ciało znalazłem na Speaker Point, nazywał się Frederick Lacey, jeśli wierzyć prawu jazdy w jego kieszeni. Można by do tego jeszcze dużo dodać, ale nie chcę panu zawracać głowy szczegółami.

- Pan i ja - oznajmił szeryf - udamy się teraz do hotelu. Ma pan samochód? Powiedziałem, że mam.

- To świetnie - orzekł. - Nie skorzystamy z niego, ale proszę mi dać kluczyki.

*** * ***

Mężczyzna z gęstymi, krzaczastymi brwiami i cygarem wbitym w usta opierał się o zamknięte drzwi pokoju i nic nie mówił; nie wyglądał zresztą na mającego coś do powiedzenia. Szeryf Barron siadł okrakiem na krześle i patrzył, jak doktor, nazwiskiem Menzies, bada zwłoki. Ja stałem w kącie - tam było moje miejsce. Doktor, człowiek nieco kanciasty, o wylupiastych oczach, żółtej twarzy upstrzonej na policzkach pomarańczowymi plamami i palcach brązowych od nikotyny, nie wyglądał na czyścioszka. Wdmuchiwał dym z papierosa we włosy Webera, obracał go na łóżku, dotykał tu i ówdzie. Starał się postępować tak, jakby wiedział, co robi. Wyjęty z pleców zmarłego nóż leżał teraz obok. Krótki, z szerokim ostrzem, w rodzaju tych, jakie się nosi w skórzanej pochwie przytroczonej do pasa. Szeroka garda, która po ciosie zatyka ranę, osłoniła rączką przed krwią. Natomiast ostrze było całe w niej unurzane.

- Specjalny nóż myśliwski firmy Sears Sawbuck, numer 2438

- stwierdził szeryf, patrząc na nóż. - Spotyka się je tysiącami nad jeziorem. Ani złe, ani dobre, nijakie. Co pan powie, doktorze? Doktor wyprostował się i wyjął chusteczkę do nosa. Odkasłał w nią sucho, obejrzał plwocinę, pokiwał smutno głową i zapalił nowego papierosa.

- O czym? - spytał.

- O czasie i przyczynie zgonu.

- Zmarł całkiem niedawno - rzekł lekarz. - Najwyżej dwie godziny temu. Jeszcze nie zaczął sztywnieć.

- Sądzi pan, że zginął od tego noża?

- Niech pan się nie wygłupia, Jimie Barron.

- Zdarzały się wypadki - wyjaśnił szeryf - że człowieka otruto albo coś w tym stylu, a potem wbijano mu nóż, żeby zmylić trop.

- To by było bardzo sprytnie - powiedział lekarz i dodał złośliwie. - Wiele pan tutaj spotkał takich wypadków?

- Jedyne morderstwo, z jakim tu miałem do czynienia - odparł spokojnie szeryf - to stary papa Meacham z tamtej strony jeziora. Miał domek w Sheedy Canyon. Nie pokazywał się przez dłuższy czas, ale było zimno i ludziska myśleli, że siedzi u siebie przy piecyku olejowym. Lecz kiedy ciągle się nie pokazywał, zastukali i okazało się, że domek jest zamknięty. Więc doszli do wniosku, że wyjechał na zimę. A potem spadło mnóstwo śniegu i dach się zapadł. Poszliśmy naprawić, żeby nie stracił swego dobytku, a tu - patrzymy - papa leży na łóżku z głową rozłupaną od tyłu siekierą. Miał trochę złota, które wyplukał latem - myślę, że z powodu tego złota zginął. Dotąd nie wiemy, kto to zrobił.

- Mam go zabrać karetką? - spytał lekarz, wskazując papierosem na łóżko. Szeryf potrząsnął

głową.

- Nie. Żyjemy w ubogim okręgu, doktorze. Myślę, że znajdziemy dla niego tańszy środek lokomocji. Doktor włożył kapelusz i podszedł do drzwi. Mężczyzna o krzaczastych brwiach usunął się z przejścia. Lekarz otworzył drzwi.

- Proszę mi dać znać, jeśli będzie pan chciał, żebym zapłacił za pogrzeb - powiedział i wyszedł.

- Po co się zaraz denerwować - mruknął szeryf.

- Skończcie już z tym i zabierzcie go stąd. Chciałbym wrócić do pracy. W poniedziałek zjeżdża ekipa filmowa i mam w związku z tym kupić roboty. Poza tym muszę znaleźć nowego kasjera, a to nie jest łatwe - odezwał się mężczyzna z krzaczastymi brwiami.

- A gdzie pan znalazł Webera?

- spytał szeryf. - Czy on miał wrogów?

- Powiedziałbym, że jednego miał na pewno - stwierdził ten z brwiami. - Polecił mi go Frank Luders z Woodland Club. Wiem o nim tylko tyle, że znał swój fach, bez mrugnięcia okiem radził sobie z listami zastawnymi na dziesięć tysięcy dolarów. Więcej nie chciałem o nim wiedzieć.

- Frank Luders - powtórzył szeryf. - To ten człowiek, który kupił część Woodland Club. Chyba nie zetknąłem się z nim osobiście. Czym on się trudni?

- Cha, cha, cha - zaśmiał się właściciel krzaczastych brwi. Szeryf spojrział na niego łagodnie.

- Cóż, Woodland Club to nie jedyne miejsce, w którym można sobie pograć w pokera, panie Holmes. Holmes zbladł.

- No, cóż, muszę wracać do pracy - powiedział. - Potrzebna panu będzie pomoc przy usuwaniu ciała?

- Nie. Teraz nie będę go ruszał. Zrobimy to jeszcze dzisiaj. Ale nie w tej chwili. Na razie dziękuję panu, panie Holmes. Mężczyzna z krzaczastymi brwiami patrzył na niego przez dłuższą chwilę w zamyśleniu, po czym położył dłoń na klamce.

- Pracują tu u pana dwie młode Niemki, panie Holmes. Kto je zatrudnił? - zwróciłem się do niego. Holmes wyciągnął z ust cygaro, obejrzał je dokładnie, znów wetknął między wargi i mocno zacisnął.

- A panu co do tego? - burknął.

- Nazywają się Anna Hoffman i Gertruda Smith albo może Schmidt

- powiedziałem. - Mieszkały razem w domku w Whitewater Cabins. Dziś wieczorem spakowały manatki i wyjechały. To Gertruda oddała buty pani Lacey do szewca. Właściciel brwi przyjrzał mi się badawczo.

- Kiedy Gertruda wzięła te buty - ciągnąłem - postawiła je na jakiś czas na biurku Webera. W jednym było pięćset dolarów. Pan Lacey włożył je tam dla żartu, chciał zrobić żonie niespodziankę.

- Pierwsze słyszę - stwierdził Holmes. Szeryf milczał.

- Pieniądzy nie skradziono - kontynuowałem. - Laceyowie znaleźli je w bucie kiedy udali się do szewca.

- Cieszy mnie, że ta sprawa się wyjaśniła - stwierdził mężczyzna z krzaczastymi brwiami. Otworzył drzwi na oścież, wyszedł i trzasnął nimi. Szeryf nie usiłował go zatrzymać. Pomaszerował w kąt hotelowego pokoju i napluł do kosza. Potem wyjął chusteczkę koloru khaki, wytarł nią zakrwawiony nóż i zatknął go sobie za pas. Stał koło łóżka i przyglądał się nieboszczykowi. Następnie poprawił kapelusz i ruszył ku drzwiom. Otworzył je i obejrzał się na mnie.

- To zagadkowa sprawa - powiedział. - Ale nie tak zagadkowa, jak by pan chciał. Chodźmy, pojedziemy do Laceyów. Wyszedłem, a on zamknął drzwi i włożył klucz do kieszeni. Zeszliśmy do hallu i opuściliśmy hotel. Po drugiej stronie ulicy, koło hydrantu, stał mały, zakurzony, brązowy sedan. Za kierownicą tkwił gładkoskóry młody człowiek. Sprawiał wrażenie niedożywionego i brudnawego, jak większość tubylców. Usadowiliśmy się z szeryfem na tylnym siedzeniu.

- Znasz domek Baldwina na skraju Ball Sage, Andy? - spytał szeryf.

- Aha.

- Pojedziemy tam. Zatrzymaj się jeszcze na chwilę na poboczu. - Spojrzał na niebo. - Mamy dziś pełnię - stwierdził. - Księżyc pierwsza klasa.

* * *

VIII

Domek na przylądku wyglądał zupełnie tak samo jak wtedy, gdy go widziałem po raz pierwszy. W tych samych oknach paliło się światło, to samo auto stało w garażu, to samo dzikie, przenikliwe szczekanie rozdzierało powietrze.

- Co to za czarci pomiot? - spytał Barron, kiedy samochód hamował. - Wyje jak kojot.

- Bo to półkojot - odparłem.

- Mam zajechać od frontu? - rzucił przez ramię chłopak za kierownicą.

- Podjedź jeszcze kawalek. Do tamtych starych sosen. Samochód zatrzymał się cicho na poboczu, w cieniu drzew. Szeryf i ja wysiedliśmy.

- Ty tu zostaniesz, Andy, i uważaj, żeby cię ktoś nie zobaczył - powiedział. - Mam swoje powody. Cofnęliśmy się kawalek drogą i weszliśmy przez furtkę w stylu wiejskim. Znów usłyszeliśmy ujadanie. Drzwi domku otwarły się. Barron wspiął się po schodkach i zdjął kapelusz.

- Pani Lacey? Jestem Jim Barron, posterunkowy w Puma Point. A to pan Evans z Los Angeles. Zdaje się, że już go pani poznała. Czy możemy na chwilę? Kobieta patrzyła na niego. Twarz miała tak całkowicie pogrążoną w cieniu, że nie można było dostrzec jej wyrazu. Potem lekko obróciła głowę i spojrzała na mnie.

- Tak, proszę - powiedziała bezbarwnym głosem. Weszliśmy. Kobieta zamknęła drzwi. Wielki szpakowaty mężczyzna postawił psa na podłogę i wstał z fotela. Pies rzucił się na oślep, wspiął na wysokość brzucha szeryfa, zrobił fikołka i wylądował na podłodze.

- Ależ to naprawdę uroczy piesek - stwierdził Barron, wciskając koszulę w spodnie. Szpakowaty mężczyzna uśmiechał się miło. Powiedział "dobry wieczór", a jego białe, mocne zęby lśniły przyjaźnie. Pani Lacey nadal miała na sobie dwurzędowy czerwony żakiet i szare spodnie. Ale jej twarz jakby się postarzała. Wzrok wbiła w ziemię.

- To pan Frank Luders z Woodland Club. Pan Bannon i - przerwała i wpatrzyła się w jakiś punkt nad moim lewym ramieniem - nie dosłyszałam nazwiska drugiego pana.

- Evans - podpowiedział szeryf, nie spojrzawszy na mnie.

- A ja nazywam się Barron, nie Bannon. Skinął głową Ludersowi. Ja też. Luders uśmiechnął się do nas. Był wysoki, dobrze zbudowany, zadbany i pogodny. Zdawał się nie mieć trosk. Wielki, serdeczny Frank Luders, równy chłop.

- Znam Freda Lacey'a od lat - zaczął. - Wpadłem go odwiedzić. Ale Freda nie ma w domu, więc czekam, aż przyjaciel przyjedzie po mnie samochodem.

- Miło mi pana poznać, panie Luders - powiedział szeryf. - Słyszałem, że kupił pan udział w klubie. Nie miałem dotąd przyjemności zetknąć się z panem. Kobieta siadła ostrożnie na brzeжку krzesła. I ja usiadłem. Suczka, Jasna, wskoczyła mi na kolana, umyła dokładnie moje prawe ucho i zwinnie zsunęła się pod krzesło. Leżała tam, głośno dysząc i waląc o podłogę puszystym ogonem. W pokoju przez chwilę panowała cisza. Zza okien od strony jeziora dobiegł stłumiony warkot. Pochwyciwszy go, szeryf nastawił uszu, ale ani na jotę nie zmienił wyrazu twarzy.

- Obecny tu pan Evans - oznajmił - zjawił się u mnie i opowiedział osobliwą historię. Mam nadzieję, że możemy o tym pomówić, widzę, że pan Luders jest przyjacielem domu. Zerknął na panią Lacey i czekał. Z wolna podniosła wzrok, nie na tyle jednak, żeby mu spojrzeć w oczy. Przelknęła parę razy ślinę i skinęła głową. Dłonią wodziła po oparciu fotela, tam i sam, tam i sam. Luders wciąż się uśmiechał.

- Wolalbym, żeby pan Lacey był tu z nami - rzekł szeryf. - Myśli pani, że powinien wrócić lada

chwila? Kobieta znów skinęła głową.

- Mam nadzieję - powiedziała słabym głosem. - Wyszedł wczesnym popołudniem. Nie wiem, gdzie się podziewa. Nie przypuszczam, żeby pojechał gdzieś dalej, nie mówiąc mi o tym, ale upłynęło już tyle czasu... MOże coś mu wypadło.

- Na to wygląda - zgodził się szeryf. - Wygląda też na to, że pan Lacey napisał list do pana Evansa, prosząc go o rychły przyjazd. Pan Evans jest detektywem z Los Angeles. Kobieta poruszyła się, zaniepokojona.

- Detektywem? - szepnęła.

- Ale po co Fred miałby to robić? - rzucił Luders z promiennym uśmiechem.

- Z powodu jakichś pieniędzy schowanych w bucie - wyjaśnił szeryf. Luders uniósł brwi i spojrzął na panią Lacey. Kobieta zacisnęła wargi.

- Ale myśmy je odzyskali, panie Bannon - powiedziała po chwili. - Fred sobie zażartował. Wygrał trochę na wyścigach i schował w moim bucie. Chciał mi zrobić niespodziankę. Oddałam but do naprawy z tymi pieniędzmi, ale kiedy poszliśmy do szewca, były na miejscu.

- Nazywam się Barron, nie Bannon - przypomniał szeryf. - Więc odzyskała pani swoje pieniądze nietknięte, pani Lacey?

- Tak... oczywiście. Rzecz jasna, z początku myśleliśmy, że ponieważ to było w hotelu i pokojówka odnosiła buty... zaraz, o czym to myśmy myśleli, nie pamiętam, ale to był głupi pomysł chować pieniądze do buta, no, w każdym razie odzyskaliśmy forszę, co do centa.

- Czy to były te same pieniądze? - spytałem, bo wpadło mi do głowy coś, czym wcale nie byłem zachwycony. Pani Lacey nie patrzyła w moją stronę.

- Tak, oczywiście. Dlaczego miałyby być inne?

- Pan Evans nieco inaczej przedstawiał mi tę sprawę - stwierdził spokojnie szeryf, splatając ręce na brzuchu. - Zdaje się, że gdy opowiadała pani o tym panu Evansowi, pewien drobny szczegół wyglądał inaczej. Luders pochylał się nagle do przodu, ale uśmiech nie zgasł na jego wargach. Ja nawet nie drgnąłem. Kobieta uczyniła nieokreślony gest, jej dłoń nadal wędrowała po oparciu.

- Co ja... opowiadałam... co ja opowiadałam panu Evansowi? Szeryf bardzo powoli skierował głowę w moją stronę i popatrzył mi surowo w oczy. Potem znów ją odwrócił. Jedną jego dłoń poklepywała drugą na brzuchu.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, pan Evans był tu już raz dziś wieczorem i pani mu o tym opowiadała, pani Lacey. O zamienionych pieniądzach.

- Zamienionych? - powtórzyła dziwnie głuchym głosem. - Pan Evans powiedział panu, że był tu już dziś wieczór? Ależ ja... widzę pana Evansa po raz pierwszy w życiu. Nie zaszczyliłem jej

spojrzeniem. Interesował mnie Luders. Wpatrywałem się w niego. Bylem jak automat do gry po wrzuceniu monety. Luders zachichotał i przytknął zapalną do cygara. Szeryf przytknął oczy. Miał zatroskany wyraz twarzy. Suczka wyszła spod mojego krzesła i stanęła pośrodku pokoju, spoglądając na Ludersa. Następnie przeniosła się w kąt i wślizgnęła pod frędzle kapy. Sapała przez chwilę, potem ucichła.

- Taś, taś, głupi Jasiu - powiedział szeryf do siebie. - Ja naprawdę nie mam kwalifikacji do prowadzenia tego rodzaju spraw. Brak mi doświadczenia. U nas nie trafia się szybka robota, jak ta tutaj. W górach panuje spokój. Rzadko stykamy się z przestępstwem. Zrobił żalostną minę, po czym otworzył oczy.

- Ile w tym bucie było pieniędzy, pani Lacey? - zapytał.

- Pięćset dolarów - odparła stłumionym głosem.

- I gdzie są te pieniądze?

- Przypuszczam, że ma je Fred.

- Myślałem, że miał zamiar dać je pani.

- Miał - powiedziała porywczo.

- Ma zamiar. Ale ja ich w tej chwili nie potrzebuję. Nie w tej dziurze. Myślę, że Fred kiedyś da mi czek.

- Sądzi pani, że mąż trzyma te pieniądze w kieszeni, czy może gdzieś w domu? Potrząsnęła głową.

- Zapewne w kieszeni. Nie wiem. Czy chce pan przeszukać domek? Szeryf wzruszył potężnymi ramionami.

- Zaraz przeszukać... Nie, nie sądzę. Nic by mi to nie dało. Zwłaszcza jeśli nie zostały zamienione.

- Co to znaczy "zamienione" panie Barron - wtrącił się Luders.

- Zamienione na fałszywe banknoty - wyjaśnił szeryf. Luders zaśmiał się z cicha.

- To naprawdę zabawne, nie uważa pan? Fałszywe banknoty w Puma Point? Tu coś takiego chyba nie może się zdarzyć. Szeryf przytknął ze smutkiem na twarzy.

- To istotnie niezbyt sensowne, prawda?

- I jedynym źródłem informacji w tej sprawie jest dla pana obecny tu pan Evans, który mieni się detektywem? - spytał Luders.

- W dodatku pewnie prywatnym detektywem?

- I mnie się to wydało zastanawiające - stwierdził szeryf. Luders jakby skurczył się w sobie.
- Czy ma pan na ten temat jakieś inne informacje oprócz twierdzenia pana Evansa, że wezwał go Fred Lacey?
- Pan Evans musiał coś wiedzieć, skoro tu przyjechał - powiedział szeryf defensywnie. - Poza tym wiedział o pieniądzech w bucie pani Lacey.
- Ja tylko pytam - rzekł łagodnym głosem Luders. Szeryf obrócił się ku mnie. Miałem na twarzy lodowaty uśmieszek. Od incydentu w hotelu nie szukałem listu Lacey'a. Teraz wiedziałem, że szukałbym nadaremnie.
- Czy ma pan list Lacey'a? - spytał surowo Barron. Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni. Szeryf opuścił rękę i nagle ją podniósł. Trzymał w niej swego colta.
- Najpierw odbiorę panu pistolet - wycedził wstając. Rozwarłem połę marynarki i czekałem. Pochylił się nade mną i wyszarpnął broń z pochwy. Rzucił na nią okiem z kwaśną miną i włożył do lewej tylnej kieszeni. Usiadł.
- Teraz niech pan szuka - rzucił. Luders przyglądał mi się z grzecznym zainteresowaniem. Pani Lacey splotła dłonie, mocno je zacisnęła i utkwiała wzrok w podłozie między swoimi butami. Wyjąłem wszystko, co miałem w wewnętrznej kieszeni. Parę listów, kilka zwykłych kartek na notatki, przyrząd do czyszczenia fajki, zapasową chusteczkę. Wśród listów nie było tego najważniejszego. Schowałem rzeczy z powrotem do kieszeni, wyciągnąłem papierosa i włożyłem do ust. Zapaliłem zapalną i przytknąłem do czubka papierosa. Nonszalancko.
- Wygraliście - powiedziałem z uśmiechem. - Obaj wygraliście. Twarz Barrona poczerwieniała, oczy mu zabłyły. Z zaciśniętymi wargami odwrócił ode mnie wzrok.
- A może - zaproponował przymilnie Luders - sprawdzi pan też, czy on rzeczywiście jest detektywem? Barron ledwie go zaszczylił przelotnym spojrzeniem.
- Nie interesują mnie takie drobnostki - stwierdził. - W tej chwili prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa. Wydawał się nie patrzeć ani na Ludersa, ani na panią Lacey, raczej w kąt sufitu. Pani Lacey wzdrygnęła się, jej oczy zmatowiały, zacisnęła dłonie tak mocno, że kłykcie połyskiwały bielą w świetle lampy. Bardzo powoli otworzyła usta. Suchy szloch uwiązał jej w krtani. Luders wyjął z ust cygaro i położył je ostrożnie na mosiężnej popielniczce, stojącej obok jego fotela. Już się nie uśmiechał. Twarz miał ponurą. Milczał. To było cudownie zsynchronizowane. Barron dał im tyle czasu, ile potrzeba na pierwszą reakcję, i ani sekundy więcej.
- W pokoju Evansa zakłuto nożem mężczyznę nazwiskiem Weber, kasjera w hotelu Pod Głową Indianina - powiedział tym samym, dość obojętnym tonem. - Evans był wtedy u siebie, ale został ogłuszony przed morderstwem. Oto więc jeden z tych chłopców, o których wiele słyszymy, ale których rzadko oglądamy na własne oczy, jeden z tych, co są pierwsi na miejscu.
- Ja? Nie - zaprotestowałem. - Ci, o których pan mówi, przynoszą mi morderców i składają u

stóp. Pani Lacey poderwała głowę. Potem podniosła wzrok i po raz pierwszy popatrzyła mi w oczy. Jej spojrzenie miało dziwny blask, głęboki, daleki i żalorny. Barron powoli wstał.

- Nie rozumiem - mruknął. - Nic z tego nie rozumiem. Ale chyba nie popełnię błędu, jeśli zamknę tego gościa. Nie musisz biec bardzo szybko, synu - zwrócił się do mnie. - Przynajmniej z początku. Każdemu daję najpierw czterdzieści jardów. Nic nie powiedziałem. Nikt nic nie powiedział.

- Panie Luders - cedząc słowa, odezwał się wreszcie szeryf

- muszę pana prosić, żeby pan tu pozostał, dopóki nie wrócę. Gdyby przybył pański przyjaciel, może go pan odprawić. Z przyjemnością odwiozę pana później do klubu. Luders skinął potakująco. Barron spojrział na zegar stojący na półeczce nad kominkiem. Za piętnaście dwunasta.

- Dość późno jak na człowieka starej daty. Proszę pani, czy sądzi pani, że pan Lacey powinien niedługo zjawić się w domu?

- Mam... mam nadzieję - odparła, robiąc gest, który mógł oznaczać tylko bezsilność. Barron podszedł do drzwi. Kiwnął na mnie brodą. Wyszedłem na ganek. Suczka wypelzła spod sofy i zaskomlała. Szeryf przyjrzał się jej.

- Ależ to naprawdę uroczy piesek - stwierdził. - Słyszałem, że to półkojot. A drugie pół?

- Nie wiemy - szepnęła pani Lacey.

- Zupełnie jak sprawa, nad którą pracuję - zauważył i wyszedł za mną na ganek. Bez słowa doszliśmy do drogi, potem do samochodu. Andy siedział z dogasającym papierosem między wargami. Wsiedliśmy.

- Podjedź jakieś dwieście jardów - powiedział Barron. - Narób dużo hałasu. Andy włączył stacyjkę, nacisnął kilkakrotnie pedał gazu, wrzucił bieg i samochód ruszył w świetle księżycy, minął zakręt i toczył się w kierunku wierzchołka wzgórza, gdzie cienie pni drzew zakłócały księżycową sielankę.

- Zawróć na szczycie, wyłącz silnik i zjedź, ale nie za blisko domu - polecił Barron. - Stań tak, żeby nas nie widzieli. I zanim zakręcisz, wyłącz światła.

- Aha - mruknął Andy. Zawrócił tuż przed szczytem, okrążając duże drzewo. Wyłączył światła, a po chwili także silnik. Niemal u stóp wzgórza rosła gęsta kępa manzanity, prawie tak wysokiej jak akacja. Tam samochód się zatrzymał. Andy zaciągnął ręczny hamulec, wolniutko, żeby nie było słycać zgrzytu koła zapadkowego. Barron nachylił się ku przedniemu siedzeniu.

- Przejdziemy na drugą stronę drogi, a potem nad samą wodę - oznajmił. - Nie chcę żadnych hałasów ani włączenia się w światło księżycy.

- Aha - powiedział Andy. Wsiedliśmy. Szliśmy ostrożnie poboczem, później po igliwiu.

Przeciskaliśmy się między drzewami i zwalonymi pniami, aż ujrzelśmy wodę. Barron usiadł na ziemi, potem się położył, a gdy Andy zrobił to samo, zbliżył wargi do jego ucha.

- Słyszysz coś?

- Osiem cylindrów, nierówno pracują - stwierdził Andy. Nadsluchiwałem. Mógłbym sobie wmówić, że coś słyszę, ale bez większego przekonania. Barron kiwnął głową w mroku.

- Obserwujcie światła domku - powiedział. Obserwowaliśmy. Upłynęło pięć minut, a w każdym razie dość czasu, by mogło się wydawać, że to pięć minut. Żadnych zmian. W domku nadal się świeciło. Potem pochwyciliśmy daleki, niemal nierzeczywisty odgłos zamykanych drzwi. I butów na drewnianych schodkach.

- Sprytnie - szepnął Barron do ucha Andy'emu. - Światła zostawili. Czekaliśmy jeszcze chwilę. Przeskakując z wolnych obrotów na wysokie, silnik zaryczał nagle nierówno, chaotycznie. Po chwili ryk przeszedł w głuchy warkot i szybko cichł w oddali. Ciemny kształt prześlizgnął się po księżycowej tafli wody, skręcił, zostawiając piękną smugę piany, i za przyłaskiem zginął z pola widzenia. Barron wyjął prymkę i odgryzł kawalek. Żuł z przyjemnością, po czym splunął na odległość czterech stóp. Podniósł się i otrzepał z igieł. Andy i ja również wstaliśmy.

- Człowiek nie może sobie spokojnie pożuć tytoniu - powiedział. - Nie ma warunków. W tamtym domku myślałem, że zasnę. Uniósł wyżej colta, przełożył go z lewej ręki do prawej i schował na biodrze.

- No i co? - spytał Andy'ego.

- Łódź Teda Rooneya - stwierdził Andy. - Ma dwa kiepskie zawory i rysę w tłumiku. Słysząc to najlepiej, kiedy się zdławi motor, jak im przed startem. Jak na Andy'ego była to długa wypowiedź, ale szeryfowi przypadła do gustu.

- Nie mylisz się, Andy? Dużo motorówek ma kiepskie zawory.

- To po diabła mnie pan pyta?

- obruszył się Andy.

- Dobrze, już dobrze, po co się denerwować. Andy coś mruzczał. Przeszliśmy przez drogę i wsiedliśmy do samochodu. Andy zapalił silnik i zawrócił.

- Światła? - zapytał. Barron skinął głową. Andy włączył reflektory.

- Dokąd jedziemy?

- Do domu Teda Rooneya - oznajmił spokojnie Barron. - I pośpiesz się. Mamy przed sobą dziesięć mil.

- Nie da się szybciej niż w dwadzieścia minut - powiedział kwaśno Andy. - Musimy jechać przez Puma Point. Samochód ruszył szybko brukowaną drogą nad jeziorem, przemknął obok obozu

chłopięcego i innych obozowisk, po czym skręcił w lewo, na szosę. Barron nie odzywał się, póki nie minęliśmy miasteczka i drogi do Speaker Point. Zespół wciąż łomotał w pawilonie.

- Dał się pan nabrać? - spytał mnie wówczas.

- Jak ta lala.

- Nie popełniłem jakiegoś błędu?

- Świetna robota - stwierdziłem - ale mam wrażenie, że Luders nie dał się zwieść.

- Ta dama była wyraźnie zażenowana. Luders to dobry chłop. Twardy, opanowany, czujny. Ale trochę go jednak nabrałem. Popelniał błędy.

- Parę sam dostrzegam - stwierdziłem. - Po pierwsze, że w ogóle tam był. Po drugie, gdy chcąc nam wyjaśnić, dlaczego nie jest samochodem, powiedział, że przyjaciel ma po niego przyjechać. To nie wymagało wyjaśnienia. W garażu stał samochód, a pan wcale nie wiedział, czyj. Po trzecie, że trzymał motorówkę na wolnych obrotach.

- To nie był błąd - odezwał się z przodu Andy. - Nie mówilby pan tego, gdyby pan kiedyś spróbował zapalić zimny silnik.

- Nie zostawia się samochodu w garażu, przyjeżdżając z krótką wizytą - dodał Barron. - U nas nie ma wilgoci. A motorówka mogła należeć do kogoś innego. Mogły ją wypróbować jakieś dzieciaki. Poza tym nie mam na niego haczyka, tak przynajmniej miał prawo sądzić. Tylko zanadto starał się mnie osaczyć. Splunął przez okno. Plasnęło o tylny błotnik jak mokra szmata. Samochód mknął przez księżycową noc, biorąc zakręty, zdobywając wzniesienia, mijając gęste lasy sosnowe i otwarte równiny, na których spało bydło.

- On wiedział, że nie mam listu Lacey'a - powiedziałem. - Sam mi go wyjął, w pokoju hotelowym. Bo to Luders mnie ogłuszył, a Webera zadźgał nożem. Luders wiedział, że Lacey nie żyje, nawet jeśli to nie on go zabił. Dlatego przyjechał do pani Lacey. Ona myśli, że jej mąż jest w ręku Ludersa.

- Robi pan z tego Ludersa prawdziwy czarny charakter - stwierdził spokojnie Barron. - Dlaczego Luders miałby zabić Webera.

- Bo to Weber spowodował całe zamieszanie. To jest organizacja. Założona, żeby wprowadzić do obiegu bardzo dobrze podrobione banknoty dziesięciodolarowe. A z podrzucenia pięćdziesięciu nowiutkich dziesięciodolarówek - w okolicznościach nie tylko dla tak sprytnego człowieka jak Fred Lacey dość podejrzanych - nie może wyniknąć nic dobrego.

- To bardzo ładna hipoteza, synu - przyznał Barron, chwytając za klamkę, gdy braliśmy ostry zakręt. - Ale nie ma się przed kim popisywać. Ja muszę być ostrożniejszy. Jestem na swoich śmieciach. Puma Point nie wygląda mi na najlepsze miejsce do puszczenia w obieg podrobionych pieniędzy.

- **Zgoda.**
- **Z drugiej strony, jeśli Luders jest tym, którego szukam, złapanie go może być trudne. Z doliny wychodzą trzy drogi, a na wschód od pól golfowych w Woodland Club stoi kilka samolotów. Przynajmniej latem.**
- **Nie wydaje mi się, żeby to pana specjalnie martwiło - stwierdziłem.**
- **Szeryf w górskim kurorcie nie musi się specjalnie martwić**
- **powiedział spokojnie Barron. - Nikt nie oczekuje od niego za wiele rozumu. Zwłaszcza ludzie pokroju Ludersa.**

* * *

Łódź kołysała się przy krótkim pomoście, jak kołyszą się łódki nawet na najspokojniejszej wodzie. Okrywający ją brezent był przywiązany w paru miejscach, ale nie wszędzie, gdzie powinien. Za rozchwierutanim mołem droga wiała się wśród jałowców ku szosie. Po prawej jej stronie znajdował się obóz z charakterystyczną miniaturową latarnią morską. Tylko z jednej chatki dobiegały dźwięki muzyki tanecznej, reszta już spała. Przyszliśmy tu spacerem. Samochód zostawiliśmy na poboczu szosy. Barron raz po raz pstrykał olbrzymią latarką, tu i ówdzie rzucając snop światła. Kiedyśmy dotarli nad jezioro, do miejsca, w którym droga przechodziła w molo, skierował latarkę na nawierzchnię i badał ją starannie. Były tam świeże ślady opon.

- Co pan o tym sądzi? - spytał.

- Wygląda na ślady opon - odparłem.

- A co ty myślisz, Andy? - zagadnął. - Ten człowiek jest niegłupi, ale nie umie mi pomóc. Andy pochylił się i przyglądał śladom.

- Nowe opony, szerokie - powiedział i przeszedł na molo. Tam znów się zatrzymał i wskazał palcem. Szeryf skierował światło w to miejsce.

- Aha, tutaj zawrócił - ciągnął Andy. - Ale co z tego? Teraz pełno tu obcych samochodów. W październiku to by coś mogło znaczyć. Tutejsi ludzie kupują po jednej oponie, gdy muszą, i to najtańsze. A to są specjalne bieżniki terenowe.

- Mógłbyś sprawdzić łódkę - rzekł szeryf.

- Co miałbym sprawdzić?

- Mógłbyś sprawdzić, czy była ostatnio używana.

- Do licha, przecież wiemy, że była.

- Zawsze ci się wydaje, że dobrze zgadujesz - powiedział łagodnym głosem Barron. Andy przez chwilę patrzył na niego w milczeniu. Potem splunął na ziemię i ruszył do samochodu.

- Nie zgadywałem - rzucił przez ramię. Po czym wyprostował się i oddalił, klucząc wśród drzew.

- Trochę przewrażliwiony - stwierdził Barron. - Ale dobry. Podeszedł do przystani i sięgnął ręką, macając przednią część łodzi pod brezentem. Wrócił wolnym krokiem i skinął głową.

- Andy ma rację. Jak zwykle, cholera. A co pan sądzi? Jakie opony zostawiły ten ślad? Coś to panu mówi?

- Cadillac V-12 - odparłem. - Coup~e z siedzeniami obitymi czerwoną skórą i dwiema walizkami z tyłu. Zegar natablicy rozdzielił go o dwanaście minut i trzydzieści sekund. Szeryf

głęboko się zamyślił. Potem pokiwał swą wielką głową. Westchnął.

- Mam nadzieję, że chociaż przynosi to panu pieniądze - powiedział i zawrócił. Wróciliśmy do samochodu. Andy siedział za kierownicą. Palił papierosa. Patrzył prosto przed siebie przez brudną przednią szybę.

- Gdzie teraz mieszka Rooney?

- spytał Barron.

- Tam, gdzie zawsze - burknął Andy.

- Czyli niedaleko stąd, przy drodze do Bascomb.

- Nie inaczej.

- A więc jedziemy - oznajmił szeryf, wsiadając. Usiadłem obok niego. Andy zawrócił, przejechał pół mili i chciał zakręcić, ale szeryf powstrzymał go.

- Czekaj! - polecił krótko. Wsiadł, skierował latarkę na nawierzchnię drogi, a potem wrócił na swoje miejsce.

- Myślę, że coś mamy. Tamtym śladom na przystani nie da się przypisać większego znaczenia. Ale te same ślady tutaj mogą znaczyć dużo więcej. A jeśli wiodą do Bascomb, to będą znaczyły bardzo wiele. Stare obozowiska poszukiwaczy złota są wprost wymarzone dla lewych interesów. Samochód zjechał na polną drogę i powoli piał się w górę przez wyboje. Całe wzgórze usiane było głazami, które w świetle księżyca połyskiwały białą. Przedzieraliśmy się tak z pół mili, wreszcie Andy stanął.

- Jesteśmy na miejscu, panie Sherlock Holmes - oznajmił. Barron znów wsiadł z latarką i sprawdzał teren. W domku nie paliło się światło. Po chwili wrócił.

- Byli tutaj - powiedział. - Odwieźli Teda do domu. Potem pojechali w stronę Bascomb. Czy podejrzewałbyś, Andy, że Ted Rooney wplącze się w jakiś szwindel?

- Nie, chyba żeby mu zapłacili

- odparł Andy. Wsiadłem i razem z Barronem podeszliśmy do domku. Niewielki, toporny, z zewnątrz wyłożony sośniną, miał drewniany ganek i blaszany komin umocowany drutem. Za domkiem, pod lasem, stała koślawa wygodka. Wszędzie było ciemno. Wspięliśmy się na ganek i Barron zastukał do drzwi. Nic. Poruszył klamką. Zamknięte. Okrążyliśmy domek, oglądając okna. Wszystkie zamknięte. Barron próbował otworzyć tylne drzwi na poziomie ziemi. Ale i one były zamknięte. Załomotał. Echo uderzeń poszło między drzewa i wróciło, odbite od głazów na wzgórzu.

- Pojechał z nimi - powiedział szeryf. - Myślę, że nie odważyliby się go zostawić po tym wszystkim. Pewnie zatrzymali się tu tylko po to, żeby zabrał trochę swoich rzeczy. Tak.

- Nie sądzę - odparłem. - Nie Rooney był im potrzebny, tylko jego motorówka. Pozwoliła im dziś wczesnym wieczorem usunąć ciało Freda Lacey'a ze Speaker Point. Zapewne przywiązali mu jakiś ciężar do nóg i wrzucili do jeziora. Żeby to zrobić, musieli poczekać do zmroku. Wynajęli do tej roboty Rooney'a i zapłacili mu za pomoc. Później jeszcze raz potrzebowali łodzi. Ale pomyśleli, że tym razem nie muszą go brać. I jeśli teraz przycupnęli w jakiejś kryjówce w Bascomb Valley, gdzie drukują albo magazynują podrabiane pieniądze, to na pewno bez Rooney'a.

- Znów zgadujesz, synu - stwierdził uprzejmie szeryf. - Zresztą nie mam nakazu rewizji. Ale chętnie obejrzałbym sobie tamten domek dla lalek. Zaraz wracam. Co powiedziawszy, udał się w kierunku wygodki. Wziął rozbieg i rąbnął w drzwi domku. Zadygotały i górna ich część pękła na ukos. Za moimi plecami szeryf zawołał "hola!", ale bez większego przekonania. Jeszcze raz wziął rozbieg i rąbnął w drzwi. Wraz z nimi wleciałem do środka i wylądowałem na czworakach na zalatującym starą rybą linoleum. Podniosłem się i sięgnąłem do wyłącznika zwisającej z sufitu żarówki. Barron stał tuż za mną, cmokając z dezaprobatą. Była to kuchnia z piecem, obok niego piętrzyły się drewniane szczapy. Na piecu, jeszcze ciepłym, stały brudne, cuchnące garnki. Zapaliłem drugą żarówkę, w pokoju, która wydobyła z ciemności wąskie łóżko, byle jak zaścielone, przykryte chudą kołdrą, a także drewniany stół, drewniane krzesła, stare meblowe radio, parę haków na ścianach, popielniczkę z czterema kupkami popiołu i stertę pornograficznych pism w kącie na podłodze. Sufit był niski, żeby nie uciekało ciepło. W narożniku znajdowała się uchylona kłapa, a pod nią drabina. Prowadziła na stryszek. Na drewnianej skrzynce leżała otwarta walizka z poplamionego płótna, do której bezładnie powrzucono jakieś ubrania. Barron podszedł i obejrzał walizkę.

- Wygląda na to, że Rooney wybierał się na wycieczkę albo chciał się przeprowadzić. Potem przyjechali ci chłopcy i zabrali go ze sobą. Nie skończył się pakować, ale garnitur wziął. Człowiek pokroju Rooney'a ma tylko jeden i wkłada go jedynie wtedy, gdy wybiera się do miasta.

- Nie ma go - stwierdziłem. - Ale jadł w domu obiad. Piec jest jeszcze ciepły. Szeryf spojrzął w zamyśleniu na drabinę. Zbliżył się do niej, wspiął i głową pchnął kłapę. Potem poświecił sobie latarką. Wreszcie zamknął kłapę i zszedł z drabiny.

- Przypuszczalnie trzymał tam walizkę - powiedział. - Jest jeszcze stary kufer marynarski. Możemy jechać?

- Nie widzę żadnego samochodu

- zauważyłem. - Musiał przecież mieć jakiś samochód.

- Aha. Starego plymoutha. Pogaśmy światła. Wrócił do kuchni, rozejrzał się jeszcze raz, potem zgasiliśmy obie żarówki i wyszliśmy z domku. Zamknąłem pozostałości kuchennych drzwi. Barron badał ślady opon w drobno pokruszonym granicie, idąc ich tropem aż pod wielki dąb, gdzie kilka ciemnych plam wskazywało miejsce parkowania samochodu, z którego wyciekał olej. Wrócił, machając latarką, po czym spojrzął w stronę wygodki.

- Może pan iść do Andy'ego. Ja jeszcze muszę obejrzeć ten domek dla lalek. Nie odezwałem się. Patrzyłem, jak maszeruje ścieżką do ustępu, naciska klamkę i otwiera drzwi. Widziałem, jak kieruje latarkę do środka, jak światło przenika przez szpary w ścianach i przez zdezelowany dach. Przeszedłem wzdłuż domku i skierowałem się do samochodu. Szeryfa nie było dość długo. Wracając, siedł wolno, a potem stanął za samochodem i uszczknął kolejny kawałek prymki. Obrócił go językiem w ustach i zaczął nad nim pracować.

- Rooney - powiedział - jest w wygodce. Dwa strzały w głowę. Wsiadł.

- Zastrzelony z broni dużego kalibru, na amen. Sądząc po okolicznościach, przypuszczam, że komuś się diabelnie spieszyło.

* * *

XI

Droga wspinała się ostro pod górę, wzdłuż meandrów łożyska zawalonego otoczakami, wyschniętego potoku. Potem, na wysokości tysiąca, tysiąca pięciuset stóp nad poziomem jeziora, wyrównała się. Pokonaliśmy zaporę dla bydła z ciasno poustawianych wąskich słupków, które trzeszczały pod kołami samochodu. Trakt począł opadać. Przed sobą mieliśmy falistą polanę, na której skubało trawę kilka krów. Ciemna farma rysowała się na tle rozjaśnionego księżycem nieba. Wjechaliśmy na szerszą drogę, która kilka razy zakręcała pod kątem prostym. Andy zatrzymał auto, Barron znów wysiadł z latarką i powoli omiatał światłem nawierzchnię.

- Skręcili w lewo - powiedział, prostując się. - Na szczęście nie przejeżdżał tu po nich żaden samochód. Wrócił do auta.

- Droga w lewo nie prowadzi do starych kopalni złota - rzucił Andy - tylko do Wordena i dalej w dół, nad jezioro, do tamy. Barron przez chwilę milczał, potem wysiadł i raz jeszcze zrobił użytek z latarki. Przy prawym ramieniu skrzyżowania w kształcie litery T mruknął coś ze zdziwieniem. Wrócił do nas, gasząc po drodze latarkę.

- W prawo też idą ślady - oznajmił. - Ale najpierw w lewo. Skręcili w końcu w prawo, przedtem jednak udali się dokądś na zachód od tego miejsca. Pojedziemy ich śladem.

- Jest pan pewien, że najpierw w lewo, a potem w prawo? - spytał Andy. - Jadąc w lewo, mogliby wrócić na szosę.

- Nie ma wątpliwości. Ślady w prawo nakładają się na ślady w lewo - odpowiedział Barron. Skręciliśmy w lewo. Na pagórkach, które urozmaicały dolinę, rosły akacje, niekiedy na wpół uschnięte. Akacja rozwija się do wysokości osiemnastu, dwudziestu stóp, wyżej obumiera. Umierając, gałęzie tracą korę, robią się szarobiałe i błyszczą w świetle księżyca. Po przejechaniu jakiejś mili dostrzegliśmy wąską drogę, właściwie ścieżkę, która odbijała na

północ. Andy stanął. Barron znowu wysiadł i poświecił latarką. Potem wskazał kciukiem kierunek, a Andy skręcił kierownicą. Szeryf wszedł.

- Chłopcy nie byli przesadnie ostrożni - oznajmił. - Powiedziałbym nawet, że zupełnie o nią nie dbali. Ale nie przyszło im do głowy, że Andy ze słuchu rozpozna, co to za łódź. Droga wiodła teraz przez góry i była tak wąska, że krzaki szorowały o boki samochodu. Potem zawracała pod kątem ostrym, znów pięła się w górę i okrążała jakieś wzniesienie. Wreszcie ujrzeliśmy niewielki domek. Był przyciśnięty do skarpy i otoczony ze wszystkich stron drzewami. Nagle z domku lub gdzieś z pobliza dobiegło długie, piskliwe wycie, zakończone wściekłym ujadaniem, i równie nagle ustało.

- Zgaś... - zaczął Barron, ale nim skończył, Andy wyłączył światła i zjechał z drogi.

- Za późno - powiedział. - Musieli nas zobaczyć, jeśli tylko ktoś pilnował. Barron wysiadł.

- To przypominało wycie kojota, Andy.

- Aha.

- Strasznie blisko domu, jak na kojota, nie sądzisz?

- Nie - odparł Andy. Światło się nie pali, szukając zakopanych resztek, kojot może podejść pod sam dom.

- Ale możliwe też, że to tamten piesek - stwierdził Barron.

- Albo kura, niosąca kwadratowe jaja - dodałem. - Na co czekamy? I może oddałby mi pan pistolet? A w ogóle to czy my kogoś ścigamy, czy tylko jeździmy sobie tu i ówdzie, odtwarzając rozwój wypadków? Szeryf wyciągnął z lewej kieszeni mój pistolet i wręczył mi go.

- Ja tam się nie śpieszę - powiedział. - Bo i Luders się nie śpieszy. Gdyby się śpieszył, już dawno by go tutaj nie było. Śpieszyli się, żeby dorwać Rooneya, gdyż Rooney coś o nich wiedział. Ale teraz Rooney nic już o nich nie wie, bo nie żyje. Jego dom jest zamknięty, a samochodu nie ma. Gdyby nie wyważył pan tych kuchennych drzwi, mógłby siedzieć w wygodce przez parę tygodni, zanim ktoś zainteresowałby się jego losem. Te ślady opon wyglądają dość jednoznacznie, ale tylko dlatego, że wiemy, skąd wyruszyli. Nie mają najmniejszego powodu podejrzewać, że to odkryliśmy. A bez tego od czego mielibyśmy zacząć? Nie, ja tam się nie śpieszę. Andy schylił się i spod siedzenia wyciągnął strzelbę myśliwską. Potem otworzył drzwi i wysiadł z samochodu.

- Jest tu ten piesek - powiedział spokojnie Barron. - A to znaczy, że jest tu także pani Lacey. Musi być też ktoś, kto jej pilnuje. Tak, myślę, że trzeba się temu przyjrzeć z bliska.

- Mam nadzieję, że pan się boi

- rzekł Andy. - Bo ja niewąsko. Ruszyliśmy przez lasek. Od domku dzieliło nas dwieście jardów. Noc była bardzo spokojna. Pomimo odległości usłyszałem, że ktoś otwiera okno. Szliśmy oddaleni od siebie o jakieś pięćdziesiąt stóp. Andy, który na chwilę został przy samochodzie,

żeby pozamykać drzwi, zataczał szerokie koło z prawej strony. Kiedy się zbliżyliśmy, w domku nic nawet nie drgnęło, nie zauważyliśmy też żadnego światła. Kojot czy piesek, cokolwiek to było, więcej nie zaszczekał. Podeszliśmy bardzo blisko, mieliśmy najwyżej dwadzieścia jardów do domu. Barron i ja zachowaliśmy ten sam dystans między sobą. Domek był mały i toporny, zbudowany podobnie jak ten Rooneya, ale nieco szerszy. Z tyłu znajdował się otwarty i pusty garaż. Z przodu ganek z polnych kamieni. Wtem z wnętrza dobiegły odgłosy krótkiej, gwałtownej szamotaniny i szczekanie, nagle stłumione. Szeryf legł plackiem na ziemi. Poszedłem w jego ślady. Nie zdarzyło się nic więcej. Barron wstał powoli i zaczął posuwać się naprzód krok po kroku, robiąc za każdym przerwę. Ja zostałem na miejscu. Wszedł na otwartą przestrzeń przed domem, a potem na schodki, które prowadziły na ganek. Stał, zwalisty, dobrze widoczny w świetle księżyca, z coltem zwisającym u pasa. Osobliwy sposób popełnienia samobójstwa. Nic się nie stało. Barron dotarł do szczytu schodków i przyłgnął do ściany. Po lewej miał okno, po prawej drzwi. Chwycił pistolet tak, jakby chciał załomotać kolbą w drzwi, ale zaraz ponownie go obrócił i rozplaszczyl się na ścianie. W domu zapiszczał pies. Nad parapetem otwartego okna pojawiła się uzbrojona dłoń. Z tej odległości był to trudny strzał. Ale nie miałem wyboru. Strzeliłem. Grzmot strzelby zagłuszył trzask mojego pistoletu. Broń spadła na ganek, dłoń zwiśla, a potem obsunęła się niżej, palce zadrgały i zaczęły drapać parapet. Potem dłoń zniknęła we wnętrzu, a pies zawył. Barron szarpnął za klamkę. Andy i ja pędziliśmy do domku, każdy z innej strony. Szeryf otworzył drzwi i nagle stanął w pełnym świetle. Ktoś w środku zapalił lampę i skierował ją w jego stronę. Dobiegłem do ganku w chwili, gdy Barron wchodził do wnętrza. Andy był tuż za moimi plecami. Wpadliśmy do dużego pokoju. Na środku, obok stołu z zapaloną lampą, stała pani Lacey, trzymając na ręku psa. Pod oknem leżał na boku, ciężko dysząc, krępy blondyn i macał ręką na chybił trafił w poszukiwaniu pistoletu, który wypadł za okno. Pani Lacey rozwarła ramiona i wypuściła pieska. Ten jednym skokiem rzucił się na szeryfa, dziabnął go w brzuch spiczastym noskiem i zaczął myszkować pod marynarką. Potem znów znalazł się na podłodze i biegał w kółko, nie szczełając, tylko machając z radości ogonem. Pani Lacey tkwiła bez ruchu, z twarzą pustą jak śmierć. Mężczyzna na podłodze jęknął, nie przestając ciężko dyszeć. Otworzył oczy, potem raptownie je zamknął. Spomiędzy jego warg wydobyla się różowa piana.

- Ależ to naprawdę uroczy piesek, pani Lacey - powiedział Barron, wciskając koszulę do spodni.
- Zdaje się jednak, że jego obecność nie przynosi szczęścia... przynajmniej niektórym. Spojrzał na blondyna. Ten rozwarł szeroko oczy i patrzył w nicość.

- Okłamałam pana - rzekła pośpiesznie pani Lacey. - Musiałam. Od tego zależało życie mojego męża. Luders ma go w ręku i trzyma gdzieś w okolicy. Nie wiem, gdzie, ale niedaleko stąd, tak mi powiedział. Poszedł go przyprowadzić, ale zostawił tego człowieka na straży. Nic nie mogłam poradzić, szeryfie. Prze... przepraszam.

- Wiedziałem, że pani kłamie - odparł łagodnie Barron. Spojrzał na swego colta i schował go. - Wiedziałem też, dlaczego. Tyle że pani mąż nie żyje. Nie żyje już od dłuższego czasu. Widział go pan Evans. Wiem, że to przykre, ale lepiej, żeby pani o tym wiedziała, pani Lacey. Nie poruszyła się, nie widać było nawet, by oddechowała. Potem niezmiernie powoli podeszła do krzesła, opadła na nie i ukryła twarz w dłoniach. Siedziała tak bez ruchu, nie wydając żadnego

dźwięku. Piesek zaskomlał i wpełził pod krzesło. Mężczyzna na podłodze próbował się unieść. Robił to bardzo powoli, z wysiłkiem. Oczy miał nadal bez wyrazu. Barron podszedł i pochylił się nad nim.

- Mocno dostałeś, synu? Mężczyzna przytknął lewą dłoń do piersi. Między palcami sączyła się krew. Powoli wznosił prawą rękę, aż się wyprostowała, wskazując róg sufitu. Jego wargi zadrżały, zacisnęły się i przemówiły.

- "Heil Hitler!" - zawołał ochryple. Opadł na podłogę i leżał bez ruchu. W gardle coś mu zabulgotało, ale potem także to ucichło i wszystko w pokoju znieruchomiało, nawet pies.

- To musi być jeden z tych hitlerowców - stwierdził szeryf.

- Słyszeliście, co powiedział?

- Tak - potwierdziłem. Obróciłem się na pięcie i wyszedłem na dwór, schodkami w dół, potem przez las w kierunku auta. Usiadłem na stopniu, zapaliłem papierosa i siedziałem tak, paląc i intensywnie rozmyślając. Po chwili wszyscy zeszli do samochodu. Barron niósł pieska. Andy niósł swoją strzelbę. Wyraz jego młodej, gładkiej twarzy świadczył o przeżytym szoku. Pani Lacey wsiadła, a Barron wręczył jej pieska, po czym spojrział na mnie.

- Prawo zabrania tutaj palić, synu, odległość od domku przekracza pięćdziesiąt stóp - powiedział. Rzuciłem papierosa i wdeptałem go obcasem w szarą, sypką ziemię. Usiadłem obok Andy'ego. Ruszyliśmy. Wydostaliśmy się na coś, co w tej okolicy nazywają bodaj drogą główną. Przez dłuższy czas nikt się nie odzywał.

- Luders wymienił nazwisko, Sloat czy coś takiego. Zrobił to w rozmowie z tym zastrzelonym. Tamten nazywa się Kurt - powiedziała w pewnej chwili cicho pani Lacey. - Rozmawiali po niemiecku. Znam trochę ten język, ale mówili za szybko. Sloat nie jest chyba niemieckim nazwiskiem. Czy coś to panu mówi?

- To nazwa starej kopalni złota niedaleko stąd - oświadczył Barron. - Kopalnia Sloata. Wiesz, Andy, gdzie to jest?

- Aha. Zdaje się, że go zabiłem.

- Zdaje się, że tak.

- Pierwszy raz kogoś zabiłem - powiedział Andy.

- A może to ja - wtrąciłem. - Też do niego strzelałem.

- Nie - zaprzeczył. - Pan był za nisko, żeby go trafić w klatkę piersiową. Ja go zabiłem.

- Ilu przywiozło panią do tego domku? - spytał szeryf. - Niezmiernie mi przykro zadawać pani w takiej chwili pytania, ale po prostu muszę.

- Dwóch - odparła martwym głosem. - Luders i ten, któregoście zastrzelili. On prowadził

motorówkę.

- Czy zatrzymali się gdzieś... Po tej stronie jeziora?

- Tak. Koło małego domku, stoi niedaleko brzegu. Luders prowadził samochód. Ten drugi, Kurt, wysiadł. Po pewnym czasie Luders zatrzymał się, a Kurt dogonił nas jakimś starym samochodem. Wjechał do rowu za kępą wierzb, przesiadł się do nas i dalej ruszyliśmy razem.

- To nam wystarczy - stwierdził Barron. - Jak złapiemy Ludersa, sprawa będzie załatwiona. Nie rozumiem tylko, co się za tym wszystkim kryje. Nie powiedziałem ani słowa. Dotarliśmy do skrzyżowania w kształcie litery T. Drogą skręcającą w stronę jeziora przejechaliśmy jeszcze jakieś cztery mile.

- Zatrzymaj raczej tutaj, Andy. Dalej pójdziemy pieszo. Ty zostajesz.

- Nie. Ja też chcę iść - zaprotestował Andy.

- Ty zostajesz - powiedział Barron nieoczekiwanie ostro. - Musisz zaopiekować się damą, a poza tym dzisiaj już się nazabijałeś. Masz tylko uważać, żeby piesek nie szczekał. Auto stanęło. Wysiadłem z Barronem. Piesek zaskomlał i ucichł. Zboczyliśmy z drogi i poszliśmy na przelaj przez las, w którym rosły młode sosny, manzanity i akacje. Szliśmy w milczeniu, bez słowa. Chyba tylko Indianin mógłby usłyszeć nasze kroki z odległości większej niż trzydzieści stóp.

* * *

XII

W parę minut przemierzyliśmy zagajnik. Dalej teren był płaski i odkryty. Na tle nieba rysowało się coś pająkowego, widać było jakieś kupy rupieci i kilka płuczek ustawionych jedna nad drugą, tak iż tworzyły jakby wieżę chłodniczą w miniaturze, oraz pas transmisyjny, ciągnący się w nieskończoność z wykopu. Barron nachylił się do mojego ucha.

- Od paru lat już tu nie pracują - szepnął. - Nie oplaca się. Dzień harówki dwóch chłopów może przynieść tylko tyle złota, ile waży jeden cent. Tę ziemię wyeksploatowano do cna sześćdziesiąt lat temu. Ten niski barak, tam w oddali, to stary samochód chłodnia. Ciężki i niemal kuloodporny. Nie widzę auta, ale może stoi za chłodnią. Albo je ukryto. Tak, zapewne je ukryto. Jest pan gotów? Potaknąłem. Wyszliśmy na otwartą przestrzeń. W świetle księżyca było jasno jak w dzień. Czulem się nieswojo, niczym gliniana fajka na strzelnicy. Barron wydawał się całkiem swobodny. Trzymał swego wielkiego colta, kciukiem dotykając kurka. Nagle od strony chłodni pojawiło się światło, a my przywarliśmy do ziemi. Padało z lekko uchylonych drzwi, malując na ziemi żółty prostokąt i żółty grot. W blasku księżyca coś się poruszyło, po czym dobiegł nas plusk wylewanej wody. Odczekaliśmy chwilę, wstaliśmy i ruszyliśmy przed siebie. Nie było sensu bawić się w podchody. Albo wyjdą, albo nie. Jeśli wyjdą,

zobaczą nas, czy będziemy szli, czołgali się, czy leżeli. Teren zbyt odkryty, a księżyc zbyt jasny. Nie stąpaliśmy bezszelestnie, ale grunt był twardy, wydeptany i ubity. Przystanęliśmy za kupą piasku. Wsłuchiwałem się w swój oddech. Ani ja, ani Barron nie mieliśmy zadyszki. Ale słuchałem swojego oddechu z wielkim zajęciem. Przez wiele lat uważałem go za zjawisko naturalne, a teraz nagle się nim zainteresowałem. Miałem nadzieję, że jeszcze długo będę się nim cieszył, brakło mi jednak pewności. Nie odczuwałem strachu. Byłem mężczyzną z krwi i kości, w ręce trzymałem broń. Ale ten blondyn, zostawiony tam w domku, też był mężczyzną z krwi i kości. W dodatku miał ścianę, za którą mógł się ukryć. Mimo to nie odczuwałem strachu. Rozmyślałem tylko nad niektórymi drobiazgami. Nad tym, że Barron za głośno oddycha, ale też nad tym, że zwracając mu uwagę, iż za głośno oddycha, narobię więcej hałasu niż całe jego oddychanie. Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie rozmyślać nad drobiazgami. Nagle drzwi ponownie się otworzyły. Tym razem nie wydobywało się przez nie światło. Wszedł mały, maleńki mężczyzna, niosąc coś, co przypominało ciężką walizę. Taszczył ją wzdłuż bocznej ściany chłodni, ciężko sapiąc. Barron żelaznym uchwytem ścisnął mnie za ramię. Oddech miał lekko świszczący. Maleńki mężczyzna z ciężką walizą, czy co to tam było, dotarł do końca ściany i znikł za rogiem. Pomyślałem wtedy, że choć kupa piachu nie sprawia wrażenia zbyt dużej, musi być na tyle wysoka, że nas zasłania. Tamten mógł nas wcale nie zauważyć, zwłaszcza jeśli nie spodziewał się gości. Czekaliśmy na jego powrót. Zbyt długo.

- Mam w ręku pistolet maszynowy, panie Barron. Ręce do góry, panowie. Jeśli spróbujecie zrobić coś innego, strzelam - zabrzmiał dobitny głos za naszymi plecami. Szybko podniosłem ręce do góry. Barron wahał się przez chwilę. Potem i on uniósł ręce. Obróciliśmy się z wolna. Frank Luders stał jakieś cztery stopy od nas, trzymając na wysokości piersi broń maszynową. Lufa wyglądała z tej odległości jak tunel Second Avenue w Los Angeles.

- Wolalbym, żebyście się odwrócili w tamtą stronę - powiedział łagodnie Luders. - Kiedy Charlie wróci z auta, zapali w chłodni światło. Wtedy wejdziemy do środka. Stanęliśmy znów twarzą do długiego, niskiego pojazdu. Luders cicho zagwizdał. Maleńki mężczyzna wynurzył się zza rogu, przystanął na chwilę, po czym ruszył do drzwi.

- Zapal światła, Charlie - zawołał Luders. - Mamy gości. Maleńki mężczyzna wszedł do chłodni, usłyszeliśmy trzask zapalki i wewnątrz rozbłysło światło.

- Teraz możecie wejść, panowie

- stwierdził Luders. - Pamiętaj, rzecz prosta, że śmierć depcze wam po piętach, i zachowując się stosownie. Weszliśmy.

* * *

XIII

- Odbierz im pistolety, Charlie, i sprawdź, czy nie mają jeszcze jakiejś broni. Staliśmy pod ścianą, za długim drewnianym stołem z drewnianymi ławami po obu stronach. Na stole

znajdowały się taca z butelką whisky i kilkoma szklankami, latarnia sztormowa i staromodna lampa naftowa z grubego szkła, obie zapalone, spodeczek z zapalkami i drugi, pełen popiołu i niedopalków. W przeciwległej części pomieszczenia ujrzeliśmy niewielki piecyk i dwie koje, jedną skotlowaną, drugą starannie zaścieloną. Japończyk podszedł do nas, w jego okularach odbijało się światło lamp.

- Oj, pistolety - mruknął. - Oj, niedobrze. Zabrał nam pistolety i pchnął je po stole w kierunku Ludersa. Potem drobnymi palcami zręcznie nas obszukał. Barron skrzywił się i zaczerwienił, ale nic nie powiedział.

- Już nie ma broni - stwierdził Charlie. - Proszę, siadamy, panowie. Bardzo ładna noc. Poszliśmy na piknik w świetle księżyca? Barron zabułgotał.

- Proszę siadać, panowie, chciałbym wiedzieć, czym mogę służyć - wtrącił się Luders. Usiedliśmy. Luders zajął miejsce po drugiej stronie stołu. Przed sobą miał nasze pistolety, na nich położył swój maszynowy, przytrzymując go lewą ręką, i patrzył na nas spokojnie, ale surowo. Wyraz jego twarzy nie był już przyjemny, ale nadal inteligentny. Oni zawsze mają inteligentny wyraz twarzy.

- Czuję, że muszę pozuć - powiedział Barron. - Lepiej się po tym myśli. Wyciągnął prymkę, odgryzł kawałek i schował tytoń. Żuł w milczeniu, spluwając na podłogę.

- Czuję, że wam pobrudzę podłogę - zauważył. - Mam nadzieję, że mi wybaczycie. Japończyk siedział na skraju porządnie zaścielonego łóżka, nie dotykając nogami podłogi.

- Nie lubimy - zasyczał. - Bardzo brzydko pachnie. Barron nawet na niego nie spojrzał.

- Zamierza pan zastrzelić nas i uciec, panie Luders? - zapytał spokojnie. Luders wzruszył ramionami, zdjął dłoń z pistoletu maszynowego i oparł się o ścianę.

- Zostawiliście za sobą całkiem wyraźny ślad - powiedział Barron. - Nie przypuszczaliście tylko, że znajdziemy jego początek. Gdybyście się tego spodziewali, nigdy nie postąpilibyście w ten sposób. A jednak byliście przygotowani na naszą wizytę. Tego nie rozumiem.

- Bo my, Niemcy, jesteśmy fatalistami - wyjaśnił Luders. - Kiedy rzeczy idą dobrze, jak dzisiejszej nocy, nie licząc tego głupca, Webera, stajemy się podejrzliwi. Myślałem sobie: "Nie zostawiłem żadnego śladu, nie ma sposobu, żeby mogli trafić za mną na drugi brzeg jeziora. Nie mają motorówki, zresztą żadna za mną nie płynęła. Niemożliwe, żeby mogli mnie znaleźć. Absolutnie niemożliwe". Więc powiedziałem: "Znajdą mnie właśnie dlatego, że mi się to zdaje niemożliwe. Powiniennem zatem na nich czekać".

- Podczas gdy Charlie wynosił walizkę pełną pieniędzy.

- Jakich pieniędzy? - spytał Luders, nie patrząc na nas. Sprawiał wrażenie, jakby zagłębił się w siebie, szukając odpowiedzi.

- Tych świetnych dziesięciodolarówek - odrzekłem

- które sprowadzał pan samolotami z Meksyku. Luderss tym razem spojrzął na mnie, ale wzrok nadal miał obojętny.

- Drogi mój przyjacielu, pan chyba nie mówi poważnie?

- Właśnie, że tak. To najprostsze pod słońcem. Straż graniczna nie dysponuje obecnie samolotami. Mieli jakiś czas temu kilka maszyn do ochrony wybrzeża, ale nikt nie przekraczał tą drogą granicy, więc im je odebrano. Samolot z Meksyku, lecący wysoko nad granicą, ląduje na polu golfowym Woodland Club. Należy do pana Ludersa, pan Luders ma też udziały w klubie i obecnie tam mieszka. Czemu ktoś miałby się temu dziwić. Ale pan Luders nie chce trzymać w swoim domku na terenach klubowych lewych pieniędzy na sumę pięciuset tysięcy dolarów, więc znajduje sobie tę starą kopalnię i przechowuje je w samochodzie chłodni, która jest solidna jak sejf, a wcale na sejf nie wygląda.

- To interesujące - powiedział spokojnie Luders. - Niech pan mówi dalej.

- Te pieniądze są świetnie podrobione - ciągnąłem. - Mamy w tej kwestii ekspertyzę. To oznacza organizację: dobór odpowiednich farb, papieru, płyt. To oznacza organizację, na jaką nie mogłaby się zdobyć banda fałszerzy. Organizację rządową. Organizację rządu Rzeszy. Japończyk zeskoczył z koi i zasyczał, ale Luders nie zmienił wyrazu twarzy.

- Nadal mnie to ciekawi - stwierdził lakonicznie.

- Mnie nie - wtrącił Barron. - Wygląda na to, że swoim gadaniem chce się pan doigrać kamizelki pełnej ołowiu.

- Parę lat temu - kontynuowałem - Rosjanie próbowali podobnej sztuczki. Chcieli u nas upłynnić olbrzymie ilości fałszywych banknotów i z tego finansować robotę szpiegowską, a przy okazji zachwiać pozycję dolara. Hitlerowcy są za sprytni na takie ryzyko. Zależy im na dobrych dolarach amerykańskich, którymi będą się posługiwać w Ameryce Południowej i Środkowej. Na używanych banknotach różnych nominalów. Trudno iść do banku i zdeponować, powiedzmy, sto tysięcy w nowiutkich dziesięciodolarówkach. Szeryfa niepokoi tylko, dlaczego wybraliście sobie akurat to miejsce, górski ośrodek turystyczny, którego mieszkańcy nie są specjalnie bogaci.

- A pana to wcale nie niepokoi, panie mądry? - ironizował Luders.

- Mnie to też nie niepokoi - wyjaśnił Barron. - Niepokoi mnie natomiast, że na moim terenie morduje się ludzi. Nie jestem do tego przyzwyczajony.

- Wybraliście Puma Point - ciągnąłem - przede wszystkim dlatego, że to wymarzone miejsce na wwiezienie pieniędzy. W całych Stanach jest może ze sto takich miejsc, gdzie nie trzeba się obawiać nielicznych przedstawicieli prawa i gdzie latem kręci się mnóstwo przybyszów. Miejsc, gdzie są lądowiska dla samolotów, a nikt nie kontroluje ruchu powietrznego. Był jeszcze jeden powód. To także wymarzone miejsce do upłynnienia lewych pieniędzy, przy odrobinie szczęścia nawet w dużych ilościach. Ale wy nie mieliście szczęścia. Ten Weber zrobił głupstwo i przyniósł wam pecha. Czy mam panu tłumaczyć dlaczego Puma Point jest dobrym miejscem na

rozprowadzanie lewych pieniędzy, jeśli ma się do dyspozycji odpowiednią liczbę ludzi?

- Proszę bardzo - powiedział Luders, gladząc kolbę pistoletu maszynowego.

- Ponieważ przez trzy miesiące w roku w okolicy przebywa co najmniej dwadzieścia, a w czasie świąt i weekendów nawet do pięćdziesięciu tysięcy ludzi. Oznacza to, że przywozi się tu mnóstwo pieniędzy, które bez przerwy kursują. W dodatku w miasteczku nie ma banku. Wskutek tego hotele, bary i sklepy najczęściej muszą przyjmować czeki. Tak więc w sezonie utarg odsyłany do banku składa się niemal wyłącznie z czeków, a gotówka pozostaje w obiegu. Oczywiście tylko do końca sezonu.

- Myślę, że to ciekawa koncepcja - oznajmił Luders. - Gdybym wszakże ja nadzorował taką operację, nie puszczałbym zbyt wielkiej sumy w jednym miejscu. Rzuciłbym trochę tu, trochę tam, ale niewiele. Sprawdziłbym banknoty, zobaczył, jak zostaną przyjęte. Z powodu, o którym sam pan pomyślał. Ponieważ większość pieniędzy często przechodziłaby z rąk do rąk i gdyby stwierdzono, że są "lewe", jak pan to określił, byłoby bardzo trudno wyśledzić ich źródło.

- Tak - przyznałem. - To byłoby mądre. Miło z pana strony, że tak szczerze pan o tym mówi.

- Dla pana - odparł Luders - nie ma oczywiście najmniejszego znaczenia, czy jestem szczerzy. Barron nagle się poruszył.

- Niech pan posłucha, panie Luders. Nic panu nie przyjdzie z tego, że nas pan zabije. Prawdę mówiąc, nie mamy na pana haczyka. Przypuszczalnie zabił pan tego Webera, ale rzeczy tak się mają, że byłoby cholernie trudno to panu udowodnić. Jeśli rozprawiał pan fałszywe pieniądze, capną pana za to, ale to nie grozi stryczkiem. Tak się składa, że mam u pasa dwie pary kajdanków, więc proponuję, że wyjdziecie stąd w kajdankach, pan i pański kolega Japończyk.

- Cha, cha, cha. Bardzo śmieszny człowiek. Chyba jakiś wariat, nie? - powiedział Japończyk Charlie. Luders uśmiechnął się bez przekonania.

- Schowałeś wszystko do auta, Charlie? - spytał.

- Została jeszcze jedna walizka - odparł Charlie.

- Najlepiej wynieś ją i zapal silnik.

- Niech pan posłucha, Luders, to wam się nie uda - przerwał mu Barron. - Mój człowiek został w lesie ze strzelbą myśliwską. Jest pełnia księżyca. Ma pan tutaj niezłą maszynkę, ale wobec strzelby myśliwskiej będzie pan równie bezbronny, jak teraz Evans i ja. Bez nas nigdy się pan stąd nie wydostanie. Mój człowiek widział, dokąd idziemy i którędy. Miał nam dać dwadzieścia minut. Potem pośle po ludzi, którzy was wykurzą dynamitem. Taki wydałem rozkaz.

- To bardzo trudna robota - stwierdził rzeczowo Luders. - Nawet dla nas, Niemców, trudna. Jestem zmęczony. Popelnilem duży błąd. Posłużyłem się człowiekiem, który okazał się głupcem, który zrobił głupstwo, a potem zabił człowieka, dlatego że zrobił to głupstwo, a tamten o tym

wiedział. Ale to był także mój błąd. To nie do wybaczenia. Moje dalsze życie nie ma już większego znaczenia. Zanieś tę walizkę do samochodu, Charlie. Charlie zbliżył się do niego kocim ruchem.

- To mi się Nie podoba - powiedział ostro. - Cholernie ciężka waliza. Człowiek ze strzelbą strzela. Do diabła. Luders uśmiechnął się leniwie.

- Bzdury opowiadasz, Charlie. Gdyby mieli jakichś ludzi, ci już dawno by tu byli. Dlatego pozwoliłem temu facetowi gadać. Żeby sprawdzić, czy są sami. Oni są sami. Idź, Charlie.

- Idziemy, ale nam się to wcale nie podoba - syknął Charlie. Poszedł w kąt i dźwignął stojącą tam walizkę. Ledwie mógł ją unieść. Powoli zbliżył się do drzwi, odstawił ciężar i westchnął. Uchylił je i wyjrzał.

- Nikogo nie widzimy - oznajmił. - Może to wszystko kłamstwo.

- Trzeba było zabić psa i tę kobietę - powiedział w zamyśleniu Luders. - Chwila słabości. A ten Kurt, co się z nim stało?

- Pierwsze słyszę o jakimś Kurcie - stwierdziłem. - Kto to taki? Luders popatrzył na mnie.

- Wstawajcie. Obaj. Wstałem. Zimny dreszcz przeszedł mi po krzyżu. Barron też wstał, szary na twarzy. Na jego szpakowatych włosach połyskiwały kropelki potu. Całą twarz miał spoconą i nieruchomą, tylko szczęki nie przestawały żuć.

- Ile dostałeś za tę robotę, synu? - spytał mnie cicho.

- Sto dolarów, ale trochę już wydałem - odparłem zduszonym głosem.

- Jestem żonaty od czterdziestu lat. Płacą mi osiemdziesiąt dolarów na miesiąc, plus mieszkanie i opał. To diabelnie mało. Mój Boże, powinienem zarabiać setkę - tym samym tonem powiedział Barron. Z grymasem na twarzy splunął i spojrzał na Ludersa.

- Niech cię wszyscy diabli, ty cholerny nazisto! - zawołał. Luders powoli uniósł swój pistolet i wyszczerzył zęby. Oddychał ze świstem. Potem bardzo powoli odłożył pistolet maszynowy i sięgnął za pazuchę. Wyciągnął lugera i odbezpieczył go kciukiem. Przełożył do lewej ręki i patrzył na nas spokojnie. Jego twarz powoli traciła wszelki wyraz, upodabiając się do szarej maski pośmiertnej. Uniósł broń i w tej samej chwili wyprężył prawą rękę nieco powyżej wysokości barku. Była prosta jak trzcina.

- "Heil Hitler!" - powiedział chrapliwie. Następnie szybko nakierował broń, wsadził sobie lufę do ust i wystrzelił.

* * *

Japończyk wrzasnął i wybiegł na zewnątrz. Barron i ja rzuciliśmy się na stół. Każdy schwycił swoją broń. Krew kapnęła mi na grzbiet dłoni, kiedy Luders osuwał się pod ścianą na podłogę. Barron był już w drzwiach. Kiedy znalazłem się obok niego, zobaczyłem, że Japończyk ucieka z boczem wzgórze w kierunku zagajnika. Barron zatrzymał się, podniósł swojego colta, ale zaraz go opuścił.

- Nie jest jeszcze dość daleko

- wyjaśnił. - Każdemu daję czterdzieści jardów. Po chwili znów uniósł colta, obrócił się trochę w prawo, a kiedy broń osiągnęła odpowiednią pozycję, przesunął ją powoli, potem trochę pochylił głowę, aż dłoń, ramię i prawe oko znalazły się na jednej linii. Pozostał dłuższą chwilę w tej pozycji, idealnie nieruchomy, po czym pistolet zagrzmiał i odskoczył w dłoń, a smużka dymu rozwiała się w świetle księżyca. Japończyk nadal biegł. Barron opuścił colta i patrzył, jak uciekający znika w zaroślach.

- Do diabła - powiedział. - Chybiłem. Zerknął na mnie i znów popatrzył w stronę zagajnika.

- Daleko nie ucieknie - stwierdził. - Nie ma samochodu ani łodzi. A na tych swoich krótkich nóżkach nie przeskoczy nawet przez szyszkę.

- Ma pistolet - wtrąciłem. - Pod lewą pachą. Barron potrząsnął przecząco głową.

- Nie. Zauważyłem, że kabura jest pusta. Przypuszczam, że Luders odebrał mu broń. Przypuszczam też, że Luders zamierzał się go pozbyć przed wyjazdem. W oddali, od strony drogi, pojawiły się niewyraźne światła samochodu.

- A dlaczego Luders pękł?

- Sądzę, że to urażona duma - stwierdził w zamyśleniu Barron.

- Taki wielki organizator jak on dał się wyprowadzić w pole takim dwóm pionkom jak my. Obeszliśmy samochód chłodnię. Z tyłu stało nowe coupé. Barron podszedł i otworzył drzwi. Nadjeżdżający pojazd był coraz bliżej. Gdy znalazł się na zakręcie, jego światła omiotły auto, które mieliśmy przed sobą. Barron przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, po czym trzasnął ze złością drzwiami i splunął na ziemię.

- Cadillac V-12 - powiedział.

- Czerwone skórzane obicia, walizki na tylnym siedzeniu. Pochylił się jeszcze i oświetlił tablicę rozdzielczą.

- Która godzina?

- Za dwanaście druga - powiedziałem.

- Zegar nie późni się o dwanaście minut i trzydzieści sekund - stwierdził gniewnie Barron. - Tu się pan pomylił. Potem odwrócił się do mnie, zsuwając kapelusz na tył głowy.

- Do diabła, widział go pan na parkingu przed hotelem Pod Głową Indianina.

- Widziałem.

- A już myślałem, że jest pan taki mądry.

- Jestem.

- Synu, kiedy następnym razem będę się ocierał o śmierć, postaraj się być w pobliżu. Nadjeżdżający samochód zatrzymał się kilka jardów od nas. Zaskomlał pies.

- Nikt nie jest ranny? - zawołał Andy. Podeszliśmy. Otworzyły się drzwi, mały, gładki piesek wyskoczył i pobiegł do Barrona. Z odległości blisko czterech stóp odbił się, poszybował w powietrzu i przednimi łapami rąbnął szeryfa w brzuch, a potem zeskoczył na ziemię i biegał w kółko.

- Luders zastrzelił się w chłodni - powiedział Barron. - W zagajniku kryje się mały Japoniec, musimy go otoczyć. A tu są trzy, nie, cztery walizki sfalszowanych pieniędzy, którymi też się trzeba zająć. Popatrzył w przestrzeń, potężny i nieruchomy jak skała.

- Taka noc jak dziś - westchnął - i nagle tyle trupów.

Przełożył Andrzej Zerwałd

KONIEC